

# VariArt

pismo kulturalno-literackie 01/2012



**RÓW  
NO  
ŚĆ**



ISSN 2080-1483



Anna Rau

## FOTOMONTER X I I

Towarzysz Żmijka Władysław, gdy tylko usłyszał, iż wybitny olsztyński artysta ukończył rzeźbę żaby – prostą w formie a głęboką w treści, przybiegł na obrady Miejskiego Komitetu jak na skrzydłach. Olsztyn zyskał nowy symbol! Żaba jak praca u podstaw. Żaba jak ozimina, owoc znożnej pracy towarzyszy rolników. Kobiety na traktory! Górniczy do kopalni! Żaba na pomnik! Egzekutywa przyjęła wniosek jednogłośnie, po czym równie jednogłośnie uchwaliła przerwę na słone paluszki i herbatę, towarzysz Żmijka zyskał pochwałę Pierwszego Sekretarza, a na specjalnym posiedzeniu – goździk i znaczek w kłapie, zaś żaba wkrótce wskoczyła na pomnik.

Olsztynianie przyjęli nowy monument bardzo życzliwie. Wielką rolę odegrała w tym jedna ze staropiaszowskich legend, która głosiła, że zaprawdę dawno, dawno temu pewien młody przedstawiciel klasy robotniczo-chłopskiej po ucałowaniu żabki w zabłocony pyszczek uzyskał spektakularny efekt w postaci dorodnej pszennowłosej królowej oraz połowy królestwa na własność. Jako że mądrość ludowa nie kłamie, przy rzeźbie żabki coraz liczniej wieczorami zaczęli się pojawiać mieszkańcy Olsztyna, licząc na uzyskanie – zwłaszcza – drugiej części mitycznej nagrody. Egzekutywa początkowo przyglądała się inicjatywie oddolnej nieufnie, wkrótce jednak jednogłośnie postanowiła uczynić z niej nowe radosne zjawisko społeczne – poprawną ideowo Nową Świecką Tradycję! Godnym pochwały było wszak kultywowanie dawnych chłopskich obyczajów, gdyż cementowało to społeczeństwo i gruntowało w poczuciu właściwej przynależności oraz w jedynej prawdziwych wartościach. Skończyło się na tym, iż w końcu do żaby zaczęto prowadzić młodzież szkolną i dziarską działkę przedszkolną, przywozić coraz liczniejsze wycieczki entuzjastycznych pracowników olsztyńskich zakładów pracy, a nawet wojewódzkich PGR-ów. Efekty zbiorowej orgii całusnej były przewidywalne, czyli żadne, jednak sama żaba wydawała się znosić to coraz gorzej – jakby zmaląta, skuliła się, a jej wyłupiaste oczka niemal skrzyżowały się w skośnym zezie. Miłośnicy opowieści z dreszczykiem powtarzali sobie też na ucho, że po wizycie olsztyńskiego wampira kamiennemu płazowi wyrosły małe ząbki... Potem już było tylko gorzej. Władze innych województw zachciały włączyć się krąg pokoju wokół żaby, przysłały więc przedstawicieli różnych zawodów pozawarmińskich – hutnika, górnika i rybaka dalekomorskiego – aby choć w ten sposób wyrazić braterstwo słowiańskie. Hutnik jednak po dokonaniu pocałunku obsesyjnie polubił muchy, górnik zaczął spędzać całe dni w wannie, a rybak dostał brodawek. Którejś nocy pod pomnikiem plaża odkryto też i wylegitymowano dywersantów z województwa suwalskiego! Posąg był niemal zdemontowany z postumentu – a transport w czarnej nysce czekał ze zgaszonymi światłami. Na błyskawicznie zwołanym plenum wojewódzkim egzekutywa jednogłośnie postanowiła ukrócić Nową Żabią Świecką Tradycję, która rozrosła się w tak nieoczekiwany sposób. Towarzysz Kierpiec Czesław poddał głosowaniu wniosek, aby w ramach nadchodzących obchodów 1 Maja wysłać rzeźbę do Bratniego Narodu jako rękojmię wieczystej Przyjaźni i Braterstwa. Egzekutywa



Żaba (autor: Ryszard Wachowski, 1957).  
Fot. z archiwum R. Stenika, w zbiorach  
WBP w Olsztynie

przyjęła projekt jednogłośnie. Do wystania daru jednak nie doszło, gdyż okazało się, że Pierwszy Sekretarz Bratniego Komitetu ma płazofobię, więc darowana żaba niewątpliwie zostałaby pojęta jako celowa prowokacja. Sprawa ucichła – a po roku olsztyńskiej żabomanii również wśród obywateli...

Towarzysz Żmijka odetchnął. Żaba była jego potajemną radością, pieścidełkiem i maskotką. Codziennie przed pracą wymykał się nad ranem w senne okolice pomnika, całował zastygły pyszczek..., chwycił białą rączkę i przez 15 minut spacerował wzdłuż brzegów Łyny, obejmując pokaźnym ramieniem drobną kibić nie-wiado-mo-skąd-wziętej kobietki. Nawet towarzyszące mu z dala cienie w prochowcach i kapeluszach nigdy nie zdołały zapisać w raportach, skąd pojawiała się i gdzie znikala towarzysząca Żmijki. Sprawa dostała kryptonim „Królowna” i po dymisji Żmijki utknęła w olsztyńskim Archiwum X.

## Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie  
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

## Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI  
www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau,  
Anita Romulewicz, Waldemar Tychek

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sonc.pl

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współdziale finansowym  
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

02	Fotomoner XIII
04	Wywiad z Ireną Nowicką
06	Artyści w komunie
09	Recenzja literacka
10	Panorama Poetycka → Zdzisław Lomperta → Piotr Bierzyński → Waldemar Tyчек
12	Recenzja filmowa
14	Proza → Katarzyna Enerlich
15	Filozofia propagandy
16-17	Galeria VariArt-u → Plakat Bożeny Jankowskiej
18	Quadriennale
19	Sztuka ulicy w PRL
20	Legenda bibliobusów
22	Z notatnika K-owca
23	Dziadek Jurek
24	Konkurs Piosenki Rosyjskiej
25	I tak źle, i tak niedobrze
26	Męskim głosem
28	Recenzja literacka
29	Felieton
30	Krystyna Spikert
31	Szkic z obrazkiem

0 1 / 2 0 1 2

Wyrobiliśmy trzysta procent normy, w dodatku przed czasem, bo pochod pierwszomajowy dopiero za miesiąc. Wypyaliśmy przodowników i mechanizatorów, iluminatorów i innych instruktorów, kaowców, behapowców, komsomolców.

Referaty przedstawili: o kinach kol. Nowicka, o artystach kol. Katarzyński, o bibliobusach kol. Rau, o języku propagandy kol. Jędrasik, o sztuce ulicy kol. Czernik, o filmie kol. Buszek, o plastyce kol. Bojarska-Waszczuk, o rosyjskiej pieśni kol. Stejer, o sztuce kol. Szymanowski. Z pracowniczey niwy zasłużonego kaowca sprawę zdała kol. Bolińska. Akademię uświetnili swoją prozą i poezją koleżeństwo: Enerlich, Lomperta, Tyчек i Bierzyński. Oprawę plastyczną zapewniła kol. Jankowska, a muzyczną męski chór z Olsztyna.

Protokoły z przeczytań przygotowały kol. kol. Romulewicz i Białecka. Fotomontowała z ukrycia kol. Rau, a inicjatywą obywatelską wykazali się kol. Frąckowiak i kol. Tyчек.

Zbudujmy wspólnie nowy lepszy Dukat!

Do pracy, rodacy

*Obywatele redaktorzy i obywatelki redaktorki*



w y w i a d

# Organizacja wymaga trochę serca..., czyli kilka słów o kinach w PRL-u

Z Ireną Nowicką, długoletnim kierownikiem ławskiego kina i propagatorem sztuki filmowej, rozmawia Iwona Bolińska-Walendzik

## **Iwona Bolińska-Walendzik: Co mogłaby Pani powiedzieć na temat organizacji kin w PRL-u?**

Irena Nowicka: Organizacja kin w PRL-u była doskonała w porównaniu do tego, co jest w tej chwili. Prywatyzacja tak dalece postąpiła, zatracono motywację do tego, żeby np. istniały kluby filmowe, również kina studyjne w I. 90-tych zostały bardzo ograniczone – nie było na nie pieniędzy i ich ilość z kilkuset spadła drastycznie. Na szczęście w ostatnich latach widać tendencje wzrostowe. Dzięki Sieci Kin Studyjnych jest ich obecnie około 150 w Polsce. Okres od 1974 do 1990 r. oceniam dla kultury filmowej bardzo wysoko, na co wpłynęło moje wieloletnie doświadczenie zawodowe w tej branży, aczkolwiek ona sama była sterowana politycznie. Byłam kierownikiem zespołu kin z siedzibą w Łławie, miałam pod sobą trzy kina objazdowe, kilkanaście kin w mniejszych miejscowościach, np. w Prabutach i Suszu, Kisielicach. Prowadziłam również formę kina letniego w amfiteatrze na ogromnym ekranie. Ja również przygotowywałam program, zajmowałam się merytorycznym i finansowym rozwojem tego zespołu. Oczywiście musiałam również rozliczać kina z biletów i pilnować całej dokumentacji, którą przywoziłam raz w miesiącu do Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Olsztynie. Wielkim obciążeniem dla kin były wówczas plany finansowe, gdyż ciężko jest założyć, ile się zarobi – zwłaszcza w kulturze. Trzeba było sprzedawać bilety dla zakładów pracy, organizować widownię. Przy jednym z Przeglądów Kina Radzieckiego zrobiłam degustację potraw rosyjskich i za taką imprezę towarzyszącą otrzymałam możliwość wyjazdu studyjnego do Związku Radzieckiego. Jako że wtedy mogłam przyjrzeć się kinu radzieckiemu, muszę powiedzieć, że było ono zdecydowanie bardziej nowoczesne niż nasze. Kina w Leningradzie czy Moskwie niczym nie ustępowały tym na Zachodzie. U nas czuło się stagnację, nie było pieniędzy na remonty. Taka krótka anegdota z wyjazdu do ZSRR: o mało nie zostałam aresztowana przez rybę w puszce, bo tym się tłumaczyłam, gdy zatrulałam się nią i nie pojechałam na jedną z wycieczek. A po rosyjsku puszka to czołg, więc moje argumenty były dość podejrzane.

## **I.B.-W.: Czy może Pani wyjaśnić młodszemu czytelnikom, czym były kina objazdowe?**

I.N.: To była po prostu aparatura przenośna, którą woziliśmy samochodem i wyświetlaliśmy filmy w świetlicach wiejskich. Ta forma była doskonałą możliwością docierania do społeczności wsi. I naprawdę podawano tak dzieła sztuki filmowej o wielkim znaczeniu. Oczywiście filmy prezentowane w ten sposób nie były pierwszej świeżości: na objazdówkę dawało się taśmy technicznie słabsze albo po regeneracji. Kinooperator miał dwa projektory i w czasie seansu były przerwy, bo na przykład przekładał taśmy, albo działo się jeszcze coś innego. Ale te kina docierały do wszystkich wiosek, które posiadały świetlice.

## **I.B.-W.: Jaki był dostęp do nowości filmowych w PRL-u?**

I.N.: Z nowościami było tak, że ich pokazywanie zawsze uwierunkowane było wpływami. Jeżeli kino zadeklarowało, że zarobi określoną kwotę na filmie, to dostawało premierę. Ale ta kwota musiała wpłynąć. To był dla nas duży problem, lecz udawało się. Filmy zachodnie dawali dystrybutorzy, którzy kupowali kopie najczęściej już nie tych super nowych produkcji.

## **I.B.-W.: A jak ocenia Pani rolę kina w PRL-u?**

I.N.: Kina w małych miejscowościach miały ogromną rolę, a ludzie po prostu do nich przychodzili. Teraz, nie wiem, czy przyjeżdżają specjalnie, na przykład do Olsztyna, na seanse filmowe... Jak obserwuję kino i frekwencję filmową, to generalnie widzę młodzież miejską, a nie tę ze wsi. Oczywiście to się zmienia, gdy młodzi ludzie zaczynają studiować. Świat też jest już inny niż kilkanaście lat temu, bardziej otwarty, dostępny, teraz być może by się nie sprawdził ten model. Ale obserwując w przeszłości te społeczności, uważam, że zlikwidowanie kin w małych miejscowościach było wylaniem dziecka z kąpielą. Powinno się zostawić jakieś niewielkie placówki, coś więcej poza dużymi multipleksami. W Łławie przecież udaje się nam utrzymać kinoteatr.

## **I.B.-W.: Jaki wpływ na kształt kina miały takie osoby jak Pani, kierownicy kin?**

I.N.: Mogę powiedzieć o sobie jako przykładzie – miałam we wszystkich szkołach kluby filmowe, miałam również kino studyjne. Oczywiście nie można było dostać wszystkiego spośród filmów, ale wśród dostępnych dało się ustalać pewne programy, organizować i brać udział w przeglądach (np. zawsze po Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni), konkursach, a nawet sylwestrowych balach filmowych. Kino studyjne w Łławie było jedynym w naszym regionie poza olsztyńską „Awangardą”. Utrzymałyśmy je do 2000 r., a obecnie zostało odtworzone w ramach Sieci Kin Studyjnych. Jako jedno z nielicznych kin mieliśmy radę programową, którą ciągle uzupełnialiśmy. W szkolnych klubach filmowych mieliśmy „kąciki filmowe”, młodzież z tych klubów spotykała się ze mną raz w miesiącu, przynosząc swoje propozycje filmowe z tego, co było na czasie w świecie. I raz w tygodniu był film studyjny – również z tego, co oni wybierali. Podawałam młodzieży wszystko to, co najlepsze. Moi klubowicze wygrywali konkursy ogólnopolskie, brali udział w przeglądach, np. „Młodzi i Film” w Koszalinie, miałam wychowanka klubu, który montował *Ogniem i mieczem* z Jerzym Hoffmanem, młodzież pisała prace dyplomowe na temat filmów, ucząc się jednocześnie np. w technikum budowlanym (kilka osób nawet dostało się do szkoły teatralnej). Mam ogromną satysfakcję, bo wielu wspaniałych ludzi było w moim otoczeniu. To byli ludzie z różnych środowisk, ale pasjonaci filmowi. Uważam, że do młodzie-





ży, do ludzi trzeba dotrzeć, dać możliwość działania i wpływu na to, co się będzie działo. Członkowie rady studyjnej oprócz układania programu przygotowywali przed filmami prelekcje dla klubowiczów – to było ich zobowiązanie społeczne. Wybieraliśmy filmy o różnej tematyce – również trudnej: o narkomanii (wtedy jeszcze uważano, że nie ma z nią u nas problemu). System współpracy z kinem był tak rozbudowany, że sami klubowicze w swoich „kącikach filmowych” opracowywali prelekcje. Robiliśmy masę spotkań, przy każdym przeglądzie pojawiał się reżyser, aktor lub inny członek ekipy filmowej – byli oni dostępni na wyciągnięcie ręki. Nie robiłam barier między widownią a zaproszonymi gośćmi, siadali oni wśród publiczności. Tajemnica dobrej działalności placówki kulturalnej tkwi w tym, że nie tylko zarabiasz pieniądze, ale przede wszystkim ma się kontakt z ludźmi, do nich się wychodzi, zaraża się ich pasją. Nie da się oszukać rozmówcy, trzeba go traktować poważnie niezależnie od wieku.

**I.B.-W.: Wspomniała Pani o przeglądach filmowych. Jakże to były przeglądy?**

I.N.: Przykładem mogą być Przeglądy Kina Radzieckiego. Oczywiście rodziły się obiekcje: organizować czy nie, pójść – nie pójść. Różnie bywało. Pamiętam, że sięgnęliśmy z radą artystyczną po takie filmy jak *Czarownica z bagien*, gdzie grała Marina Włady, żona barda rosyjskiego, Włodzimierza Wysockiego, albo *Biały ptak z czarnym znamieniem* Jurija Ilienka, czy *Lecą żurawie* Michaiła Kałatozowa. I miałam komplety na filmach radzieckich. To kwestia podania, bo kultura – czy radziecka, szwedzka, niemiecka czy polska – to jest po prostu kultura. Nie można jej selekcyonować i oceniać z góry. Wiadomo, że były filmy politycznie sterowane, bardzo tendencyjne, ale były też i dzieła sztuki, które przetrwały. Były też różne sytuacje typowe dla PRL-u. Na przykład w jednym z tygodników ogólnopolskich pojawił się pewnego razu artykuł pt. „Kiedy ją spalał na stosie”, bo tak jak mówił mi nieżyjący red. Bogdan Zagroba z miesięcznika „Film”: „Ty za bardzo wchodzisz z tymi filmami, manipulujesz nimi”. Miał rację, narażałam się nie raz, np. w 1981 r. zorganizowałam kilkudniowe seminarium, na którym przez dwa-dzieścia cztery godziny puszczałam film *Robotnicy '80* Andrzeja Zajączkowskiego. Przez całą dobę ludzie przychodzili do kina. Nigdy jednak nie opowiadałam się politycznie, ale wsłuchiwałam w potrzeby środowiska, że to są nowe rzeczy, że to porusza – i wtedy ja z tym wychodziłam. Kończyło się różnie. Nie zawsze tylko laurką. Inną rzeczą, która na początku niezbyt się podobała, była przebudo-

wa w 1987 r. – balkonu na kawiarenkę. Kelnera wzywało się przez podświetlenie stolika i w czasie seansu można się było napić kawy, czy zjeść pływające lody. Ogólnopolska telewizja nakręciła materiał *Łława już bliżej Europy*.

**I.B.-W.: Co zmieniło się po 1990 r.?**

I.N.: Przede wszystkim nastąpiła prywatyzacja kin. My w Łławie wiedzieliśmy, że kino wymaga remontu. Zaproponowałam jednak załodze, żebyśmy razem je przejęli, niestety większość zrezygnowała z różnych względów. Było mi żal mojej długoletniej pracy – całe życie związałam z filmem, skończyłam kulturoznawstwo w Gdańsku z kierunkiem upowszechnianie filmu. Opłacałam więc weksel i zostałam agentem na trzynaście lat. Można było też wykupić budynek kina, ale na to nie miałam pieniędzy. Odkupiło go miasto. I chociaż budynek nadawał się do remontu, to przez pierwsze osiem lat jeszcze się wszystko kręciło. Później kino zaczęło się sypać – i tynki, i dachy, jak również aparatura. Przez kolejne kilka lat to już było tylko takie trwanie z dnia na dzień – a to nie było ogrzewania, a to pękały rury. Zaczęła siadać promocja, w końcu poszliśmy w komercję. Do 1990 r. były specjalnie zniżki na kluby filmowe. Później te zniżki utrzymywałam kosztem kina: sprzedawałam bilety tylko za cenę, którą musiałam odprowadzić do dystrybutora. Również negocjowałam ceny w ramach reklamy premierowego, nowego filmu. Problemem było także to, że trzeba było płacić wysokie gazy prelegentom, a – nie mając żadnych dotacji – nie mogłam często korzystać z tej formy promocji kina. Cieszę się, że wprowadziłam kino w Łławie w XXI w. Zaraz na jego początku miasto pozyskało środki i odremontowało piękny neoklasykistyczny budynek, więc dalej może on pełnić funkcję kina. Jeszcze po remoncie, który skończył się w 2003 r., brałam udział w rozruchu placówki. Teraz pracują w nim m.in. moi adepci. Miłym akcentem na zakończenie mojej pracy zawodowej było otrzymanie złotego herbu łławy. Podobne odznaczenie otrzymał jeszcze pracujący ze mną kinooperator, Edmund Marchlewski.

**I.B.-W.: Jak ocenia Pani kondycję współczesnego kina polskiego?**

I.N.: Dzisiaj zatraciliśmy motywację do promocji kina ambitnego. W PRL-u tego nie było. Jeśli podejmowałam temat, to go realizowałam. Teraz, gdy się idzie do kina, to wiadomo, że będzie seks, wiadomo, że będzie głośna muzyka, że będzie krew. Kino się bardzo zdewaluowało. Robi się filmy „pod publiczność”, na tematy, które są modne, tak, żeby sprzedać produkt z zyskiem. W PRL-u film musiał mieć przesłanie – czy polityczne, czy społeczne – nie mógł być dziełem nijakim. Pieniądz rządzi wszystkim i ja się temu nie dziwię, ale jest często tak, że kosztem kultury robi się jakieś inne rzeczy. Uważam, że jest to niewybaczalne. Film jest sztuką najwspanialszą, bo ma i muzykę, i obraz, i słowo. Jeśli kino nie będzie kolebką dla filmu ambitnego, to kto te filmy doceni?... Pewnie można oglądać cokolwiek tylko w telewizji, czy na monitorze komputera filmy ściągnięte z Internetu, ale to nie to samo, co duży ekran i prowadzenie tematu przez osoby przygotowane specjalnie do tego. To zupełnie coś innego.

## Władysław Katarzyński Artyści w komunie

### Tyle lat od ostatniej победы

Było to w czasach, kiedy po Olsztynie jeździły czerwone tramwaje, ulice miasta przemierzały pochody pierwszomajowe, 9 maja – w Dniu Zwycięstwa – w oknach budynków państwowych wisiały flagi, zaś pod Pomnikiem Wdzięczności Armii Radzieckiej składano kwiaty.

### Jak wszedłem na literackie salony

1 września 1956 r. jako pierwszoklasista maszerowałem z grupą rówieśników do Szkoły Podstawowej nr 1 przy ul. Moniuszki. Przechodziliśmy obok ruin zburzonej w styczniu 1945 r. kamienicy przy ul. Niedziałkowskiego, kiedy moją uwagę zwrócił mężczyzna w skórzanej kurtce, który coś rysował węgłem na rozpiętym na sztalugach płótnie. Zerknąłem mu przez ramię. Na płótnie widniały te właśnie ruiny. Taki był mój pierwszy kontakt dorosłą sztuką w czasach PRL-u. Drugi, z literaturą, miał miejsce w kilka lat później, kiedy już byłem uczniem w SP nr 9. Do szkoły przyjechał wówczas na spotkanie autorskie poeta Julian Przyboś. Siedzieliśmy w sali gimnastycznej, on coś recytował, a ja byłem zajęty przepisywaniem od kolegi pracy domowej z matematyki. Stąd nie pamiętam dzisiaj ani słowa, jakie rzekł głośny wówczas poeta.

W jakiś czas później, będąc chorym na szkarlatynę, z nudów wpadłem na pomysł wydawania domowej gazetki, w której umieściłem narysowane przez siebie karykatury moich nauczycieli z odpowiednim komentarzem w postaci fraszek. Przypadek sprawił, że gazetka, którą położyłem na parapacie, sfrunęła na dół wprost pod nogi jednego z dziennikarzy ówczesnej „Panoramy Północy”. Ku mojemu zaskoczeniu została przedrukowana w tymże tygodniku. To sprawiło, że zacząłem na serio zajmować się satyrą, a potem poezją, co zostało mi do dzisiaj. Zaś publikowanie fraszek i aforyzmów w „Gazecie Olsztyńskiej” przez Janusza Segięta, naczelnego wydania magazynowego „GO” – „Archipelagu”, który był znajomym mojego ojca z szachów, otworzyło mi drogę na literackie salony Olsztyna. Najpierw do WDK, gdzie aforysta, Władysław Grzeszczyk, z pomocą rysownika, Józefa Burniewicza, założył Klub Satyryczny, potem do Domu Środowisk Twórczych, gdzie spotykała się kulturalna śmietanka Olsztyna, wnikliwie, jak po wielu latach się dowiedziałem, penetrowana przez ubeków.

### Stare, dobre czasy, DŚT

Do tegoż DŚT się wchodziło, okazując karty wstępu, względnie z tymi, którzy je posiadali. Bram klubu pilnowała na dole niczym mityczny Cerber portierka, pani Kazia, która pilnie odnotowywała, o której kto wszedł i o której kto wyszedł. Jak po latach stwierdziłem, bo red. Tomasz Śrutkowski udostępnił mi kilka zachowanych przez siebie kartek z doniesieniami pani Kazi do Sądu Koleżeńskiego, jej opinia, co na nich podkreślono, miała istotny wpływ na zatrzymywanie kart wstępu na zawsze lub w zawieszaniu na jakiś czas w prawach członka klubu. Myślę, że i SB korzystało z tego źródła.

W klubie działo się wiele. DŚT miał własną kapele, która grała na dancingach, odbywały się tam spotkania autorskie pisarzy, konferencje o sztuce, występowały kabarety, niekiedy wystawiano malarstwo i grafikę. W tamtych czasach DŚT był dotowany przez Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego, któremu dyrektorował Bolesław Karpowicz. Tenże, Bolkiem przez nas zwany, razu pewnego zapomniał karty wstępu i mimo, iż pani Kazia dobrze go знаła, nie został wpuszczony.

Wróć jeszcze do Grzeszczyka. Aforysta ów wprowadził mnie do Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, który działał przy ZSMP, a którego pierwszym przewodniczącym był Erwin Kruk, a ostatnim – do rozwiązania w stanie wojennym – ja. Klub, wspierany przez młodzieżową organizację, dysponował funduszem na spotkania autorskie na wsi.

### Ruszamy na wieś

Kiedyś zostały jakieś pieniądze do wykorzystania, więc wybraliśmy się z Grzeszczykiem na trasę, na spotkania autorskie do klubów „Ruchu” w gminie Iława, przedtem zawiadamiając kierowniczkę tych klubów, żeby zapewniły frekwencję. Niestety, w dwóch pierwszych jedynymi osobami, które zechciały nas usłyszeć, były same kierowniczki. Wygłosiliśmy po kilka utworów, panie podbiły nam pieczętki, po czym ruszyliśmy autobusem do trzeciego. Jakież było nasze zaskoczenie, kiedy stwierdziliśmy, że sala trzeszczy w szwach! Uradowani usiedliśmy za stołem przydialnym, po czym Grzeszczyk zaczął czytać swoje złote myśli. Ja nie zdążyłem, bo do stołu podszedł jakiś postawny gość, po czym próbował wyprosić nas z sali. Stawiliśmy opór, przekonani, że chodzi o jakieś nieporozumienie, ale po interwencji miejscowych strażaków spokojnieliśmy. Wyjaśnili nam oni, że nie czekano na nas, literatów z bożej łaski, tylko na delegację z ZSMP z Olsztyna, która miała wręczyć nagrody uczestnikom konkursu „Złota Wiecha”. Kiedy nazajutrz przyszedliśmy do ZSMP po kasę za spotkania autorskie, okazało się, że dla nas jej nie ma. Ktoś z tamtej imprezy był już wcześniej u księgowej i zameldował, że narozrabialiśmy.

### W stronę ZLP

W tamtych czasach na kulturę – pod warunkiem, że była „służna” lub zbyt mocno nie godziła w ustrój – pieniędzy władza nie żałowała.

W ART i na WSN rodziły się jak grzyby po deszczu zespoły muzyczne i teatralne, jak ART Rock, Luźna Grupa, Niebo, Kandelabr, swoje stałe kapele miał obok DŚT klub „Bimanol”, „Akces”, „Łączność”, „Budowlani”. Wylęgarnię muzycznych talentów stworzył Wacław Kosowicz. Jego czworo podopiecznych, w tym Izabela Szyk, potem Trojanowska, czy też Walerian Ostrowski, zostało laureatami Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Ja w tym czasie publikowałem swoje satyry i wiersze w „Gazecie Olsztyńskiej” lub – podobnie jak kilka innych osób z kręgu piszącej młodzieży, w większości skupionej w działającym pod patronatem ZSMW Korespondencyjnym Klubie Młodych



Pisarzy – we wkładce literackiej, która ukazywała się raz na kwartał w miesięczniku „Warmia i Mazury”. I też doświadczyłem łaskawości władzy, a stało się to w 1979 r., kiedy zbliżały się ogólnopolskie dożynki w Olsztynie. Z tej okazji wraz z Henrykiem Jakubcem, Jerzym Ignaciukiem i Jerzym Górczyńskim wydaliśmy nakładem KKMP nasze zbiorki poezji i prozy, nazywane w środowisku „dożynkowymi”. Stało się to zaczynem do zawiązania się przy olsztyńskim oddziale Związku Literatów Polskich Koła Młodych. Opiekę nad kołem sprawował jego pomysłodawca, pisarz, Zbigniew Nienacki. Pamiętam, że nie pił oraz że chwalił się swoim członkostwem w ORMO i demonstrował nam ukryty w bluzie pistolet. Do Koła Młodych, które w styczniu 1981 r. dzięki Stowarzyszeniu Społeczno-Kulturalnemu „Pojezierze” wydało dwa almanachy olsztyńskich środowisk twórczych o nazwie „Suplement”, należało przez okres jego istnienia kilkanaście osób, z czego kilka, w tym ja, po wydaniu następnych ksiązek zostało członkami Związku Literatów Polskich.

#### Od Himilbscha do 1 Maja

Dzięki członkostwu w Kole Młodych mieliśmy pieniądze na spotkania autorskie i na seminaria. Jedno z nich odbyło się nad Zalewem Żegrzyńskim. Pojechaliśmy tam ze Stefanem Połomem, pisarzem olsztyńskim. Wieczorem zszedłem do barku. Przy jednym ze stolików siedział... Jan Himilbsch. „Jasiu! – powiedział uroczyście Stefan. – Poznaj młodego literata! Dobrze się zapowiada!”. Himilbsch spojrział ponuro, po czym odpowiedział: „Dobrze to on może zapowiadać na dworcu, jako kolejarz, niech lepiej postawi!”. Przyniosłem wódkę. Himilbsch nie zaszczycił mnie rozmową.

Mineło kilka lat. W DŚT występował kabaret „Ostatnia Zmiana” Bohdana Wrocławskiego, w składzie którego był właśnie Jan Himilbsch. Wygłosił jakiś kiepski monolog, po czym usiadł samotnie przy stoliku. Zbliżyłem się i przypomniałem mu scenkę z Zegrza, kiedy powiedział, że dobrze to jako mogę się zapowiadać na... „A, to ty, syn kolejarza! – przerwał. – Kolejarze nie zarabiają zbyt dobrze, teraz ja ci postawię!”. Tym razem rozgadał się na dobre.

Nieźle się mieli również plastycy. Artur Nichthaus, szef DŚT w stanie wojennym, opowiadał mi kilka anegdot, dotyczących udziału kultury w święcie 1 Maja. Wtedy mieli oni szczególnie obfite żniwa. Jak wspominał Artur, ci, którzy mieli siłę przebicia u władz, otrzymywali intratne zlecenia na malowanie na manifestację pierwszomajową portretów Marksa, Engelsa i Lenina. „Ci dwaj pierwsi mieli obfite brody, a Lenin bródkę – mówi Artur. – Więc za tych dwóch wyżej dzieła moich kolegów wyceniano”.

W pochodzie pierwszomajowym, obok innych, maszerowali również przedstawiciele związków twórczych. Dnia pewnego trzech z nich niosło wielką makietę Pałacu Kultury ze słomy podbitej dyktą. W pewnej chwili naprzeciw trybuny powiał wiatr. Dykta oderwała się i Pałac Kultury popłynął w powietrze. Zapłatę otrzymali wcześniej.

Za projekt trybuny też można było otrzymać niezłe pieniądze. Jeden z kolegów plastyków wspomina, że – dumny ze swojego projektu – zapragnął sprawdzić, jak go zrealizowano. Kiedy sprawdzał, zaglądając pod płótno, solidność trybuny usytuowanej przed „Dukatem”, podejrzewając, że chce... podłożyć bombę. Wytłumaczył się na komisariacie.

Trybuna stała w różnych miejscach: przed „Dukatem”, przy ówczesnej ulicy Zwycięstwa albo przed hotelem „Warmińskim”. Któregoś 1 Maja fotograf i operator filmowy, Ryszard Czerwiński, kazał partyjnym władzom, żeby zlecili przeniesienie w nocy trybuny na drugą stronę, bo na tej słońce będzie świecić towarzyszym w oczy. Było to w przeddzień manifestacji. Przeniesiono.

O tym, jak wielka odpowiedzialność spoczywała na artystach, przekonał się Andrzej Samulowski, malarz. W przeddzień wizyty Władysława Gomułki w OZOS, zawieszono na gmachu fabryki jego dzieło, gigantyczny portret I sekretarza. Był tak wielki, że artysta musiał go pociąć na kawałki, które potem złożono, używając podnośnika. Po tej operacji przyjechał Samulowski, po czym zmarł. Nos Gomułki wisiał do góry nogami. Natychmiastowa interwencja u władz fabryki opon uratowała skórę artysty.

W końcu lat 70. związałem się z kabaretem „Paragraf” z olsztyńskiej Akademii Rolniczo-Technicznej, dla którego pisałem teksty. Kabaret występował w swoim środowisku, bowiem jego członkowie z tytułami doktorów weterynarii nie mieli zbytnio czasu na wyjazdy na zewnątrz, a szkoda, bo warto było się zaprezentować. Zwłaszcza że nasze teksty, te po roku 1980, kiedy osłabła cenzura, były coraz odważniejsze. Mówiąc o cenzurze, czyli Urzędzie Kontroli Prasy i Widowisk Publicznych, jej szefem w tych czasach był niejaki P. Musieliśmy do niego nosić teksty, ja – nawet dziecięcego kabaretu „Ściąga”, który prowadziłem w Szkole Podstawowej w Gilawach, gdzie pracowałem. W tym drugim przypadku nie puszczono mi skeczu, w którym dzieci grają w klasy. A wszystko dlatego, że szkiełko do gry w klasy, którym rzucało się na chodnik, miało z jednej strony napis „robotnicza”, z drugiej „chłopska”. „Jak by nie spadło, zawsze jedna klasa będzie na wierzchu!” – powiedział surowo P., skreślając skecz. Mniej szczęścia miał kabareciarz, Janusz Sokołowski, któremu przed Biesiadami Humoru i Satyry w Lidzbarku Warmińskim skreślono pół programu. Mimo tego, zdesperowany, wygłosił go w całości, za co, jak rozniosło się pocztą pantoflową, wlepiono mu potem grzywnę.

„Paragraf” występował w kortowskim klubie „Antalek”. Dnia pewnego jako support przed Zenonem Laskowikiem i Bohdanem Smoleniem. Po naszym gorąco oklaskiwanym występie przyszła kolej na zawodowych satyryków, a następnie na pytania z sali. Byłem pierwszym, który zapytał o cenzurę. Jak ją mistrzowie obchodzili. „Dam ci jeden przykład – powiedział wtedy Laskowik. – Kiedyś mieliśmy do ogrania nowy program i zanim to nastąpiło, odbył się spektakl przy drzwiach zamkniętych, w obecności cenzora. Był tam jeden skecz, bardzo nie-

winy w treści, w którym na scenę wchodzi facet z workiem węgla, po czym zrzuca go do balii. Cenzor obejrzał i mówi: >Ale ten numer z węglem nie przejdzie!<. >Dlaczego?<. >Bo węgiel to Śląsk, a Śląsk to Gierek!<. >To co pan proponuje?<. >Może ten facet wejdzie z piaskiem?<. >To jeszcze gorzej. Piasek to Sahara, Sahara to Egipt, a Egipt to Sadat. A przecież mamy przyjazne stosunki z Sadatem!<. I numer z węglem przeszedł!”

Na tej samej imprezie poprosiłem, żeby Zenek opowiedział nam najnowszy dowcip, bo te, które dochodzą do Olsztyna, po okrażeniu Polki są już nieświeże. Spojrzał na mnie, a nosiłem wtedy długie włosy i polatane dzinsy, i rzekł: „Kto proch wp..., w proch się obrócił!”

### Stan wojenny

Im bliżej sierpnia 1981 r., tym sytuacja w kraju stawała się coraz bardziej napięta. Buzowało również wśród artystów, bo przeczuwaliśmy wielkie wydarzenia. Już nie nosiliśmy tekstów do cenzury. Ja w Kortowie opublikowałem swój kolejny tomik satyryczny, piosenki, które śpiewał „Paragraf”. Było tam o tych, którzy powinni już odejść i wiersz, pastisz *Lokomotywy* Tuwima, która nie może ruszyć ze składem, w którym jest mięso i węgiel, bo dalej są szerokie tory, a wiadomo, gdzie takie istniały. Czy też o polskim bocianie, który wybiera się do ciepłych krajów nie dlatego, że robi się za zimno, ale dlatego, że robi się gorąco. Albo o grajku z fujarką, którego na gwałt potrzeba, by wyprowadzić z kraju szczury. Tomik został wydrukowany, ja święciłem triumf.

Pamiętam to jak dzisiaj. Krzysztof Rościszewski wystawił w teatrze buntowniczą *Pieśń o drodze*, zdjętą przez władze po kilku spektaklach. Kabaret „Paragraf” wystąpił na strajku w Olsztyńskich Zakładach Graficznych, śpiewając moje teksty. Uzdolniony poeta i satyryk, student z Kortowa, Andrzej Janeczko, zaśpiewał na Przegłądzie Piosenki Prawdziwej w Gdańsku. 12 grudnia 1980 r. siedzieliśmy, członkowie Koła Młodych, na zebraniu w DŚT. Rozeszliśmy się około 10.00. W dwie godziny później policja i ZOMO otoczyły gmach Solidarności przy ul. Dąbrowszczaków. Nazajutrz dowiedziałem się, że ogłoszono stan wojenny. Stan, który podzielił środowiska twórcze, a wiele zespołów, w tym „Paragraf”, zostało rozwiązanych i już nigdy na estradzie nie wystąpiło. Z tamtych lat został mi satyryczny tomik z wierszem, który tu przedstawiam. I chociaż komuna istniała jeszcze do 1989 r., dla mnie wtedy i dla wielu moich kolegów skończył się jakiś ważny w życiu okres.

### Kameleony

Ktoś napisał kawałkiem kredy:  
Długo byliśmy łatwowierni  
Tyle lat od ostatniej победы  
Nie jesteście już tacy pancerni

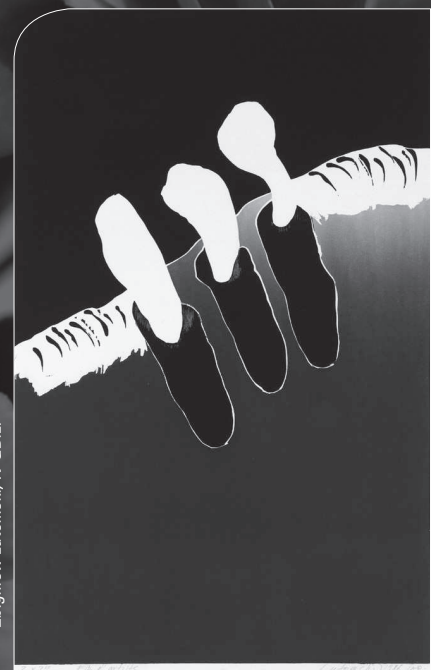
Was żelazo, stal oraz beton  
Podnosiły głośnie i wiernie  
A tymczasem w wierszach poetom  
Wypływały tak biel i czerwien

Nie widzicie, że wszystko skończone  
I że skrzypce na nowo stroimy  
Już za chwilę zagra Polonez  
Odjedziecie na resztkach benzyny

Nauczycie się, jeden z drugim  
Jak zarabiać na chleb powszedni  
A nie order, premia, zasługi  
I notatka w encyklopedii

Lecz choć ustępujecie pola  
I spuściliście mocno z tonu  
Podniesiecie się szybko z kolan  
W swoich strojach kameleonów

(z repertuaru kabaretu „Paragraf”)



Zbigniew Lutowski, IV QDILP



Sylwia Białecka

## Czy ta książka jest o PRL-u czy o peerelu?

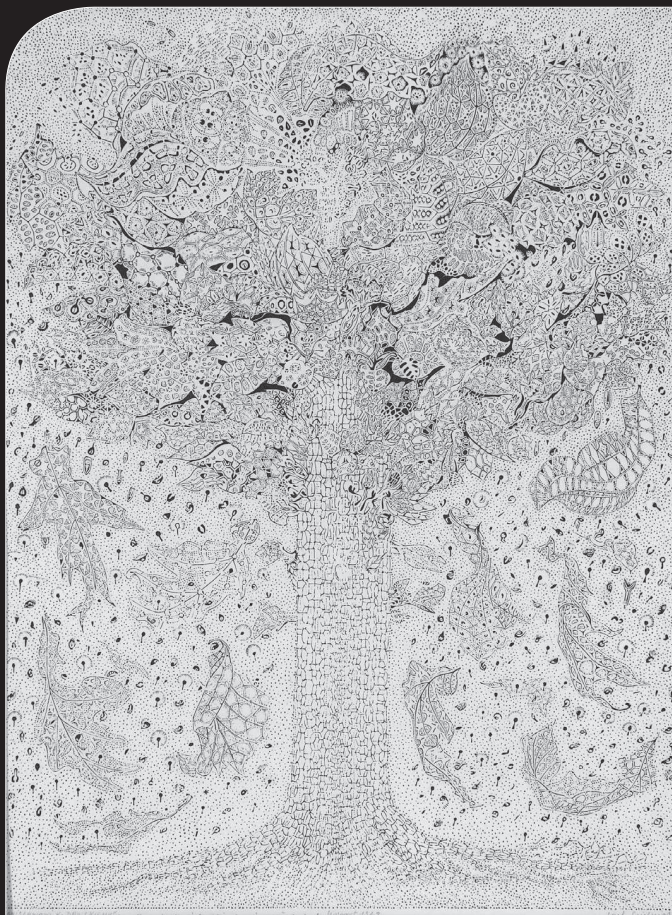
Nie pamiętam okresu PRL-u. Z dzieciństwa w ogóle niewiele pamiętam, moje pierwsze w miarę składne wspomnienia pochodzą z podstawówki, z lat 90-tych – a wtedy mieliśmy już wolność, choć nie różność i stanowczo nie braterstwo – i nagle okazało się, że o tym, kto lepszy, świadczy marka dresów. Moje były obrzydliwie różowe i miały wąskie rękawy, i nogawki, przy nadgarstkach i kostkach w ogóle nie robiły się bufki, ściągacz właściwie nie miał czego ściągać. I miały jeszcze tę wadę, że nie chciały się zedrzyć – nosiłam je chyba przez trzy lata i na większości zdjęć z wczesnej podstawówki ciągle mam te dresy – koszmar... Ale może i wcześniej też tak było, że nosiliśmy jednak różne dresy? – wszak nie pamiętam PRL-u. Nie pamiętam i już. Jedno jedyne wspomnienie z przedszkola to taki obraz, na którym siedzimy w kole, a na przeciwko mnie siedzi chłopiec z tej samej wsi, chyba Krzysiek, i dłubie w nosie. Tak chyba będzie mi się kojarzyć ten czas już zawsze – siedzimy beczynnie w kole, a ktoś dłubie w nosie.

Dlatego z ciekawością sięgnęłam po zapis rozmów Tamary Bóldak-Janowskiej o tym, co dobrego było w PRL-u, a właściwie w peerelu. Pomyślałam, że w tych wypowiedziach rozpoznam jakieś swoje zapomniane wspomnienie, odgruzuję sobie je trochę, odpicuję i będę miała. Ewentualnie jakieś obce przygarne..., byle dobre, bo wspomnienie dzieciństwa chciałabym mieć jednak dobre. Ale niewiele się tego znalazło – wypowiedzi-pamiętek i nostalgicznych anegdot, których oczekiwałam, wypunktowanych w zalety minionego systemu. Po pierwszej lekturze, głęboko rozczarowana wcisnęłam tę szczupłą, niepozorną książkę pod inne, pysznące się większą ilością stron, by szybko o niej zapomnieć. Pod wpływem rozmów ze starszymi koleżankami zaczęłam się jednak nad nią zastanawiać, by ostatecznie dojść do przyczyny tego lekturowego niezadowolenia – moje oczekiwania rozminęły się po prostu z założeniami autorki! Zaczęłam więc od początku, czyli od wstępu.

Co dobrego było w peerelu właśnie, a nie w PRL-u, gdyż autorce „chodziło (...) o wypowiedzi szczerze i niezabarwione politycznie, czy też poprawne politycznie, choć polityki dotykające”. Z założenia jest to więc książka pluralistyczna, prezentująca mnogość i różnorodność myśli, poglądów, wspomnień i wniosków, osobistych, wypowiedzianych bez oglądania się na panującą „najprawdziwszą prawdę”. Są w niej wypowiedzi ludzi znanych i anonimowych, optymistów i frustratów, przegranych i zwycięzców, cwaniaczków i idealistów, mężczyzn i kobiet (a nawet feministek, co zostaje wyraźnie podkreślone). Niektóre mają charakter osobisty, są wspomnieniami wspaniałych przyjaźni, miłości i młodości, która już nie wróci, inne są bardziej uniwersalne, a przez porównanie z obecną rzeczywistością charakteryzują nie tylko system miniony czy obecny, ale przede wszystkim ludzi, ich przemianę, ich traumy – jak pisze autorka – miejsca, „gdzie wciąż mamy głęboki peerel, to znaczy miejsca najgorsze, które człowieka kaleczą”. Peerel to nie tylko fonetyczny zapis skrótu minionej epoki, to również zapis tego wszystkiego, co się stało z ludźmi – ich rozterek, ich frustracji, ich niezadowolenia, ale również ich wewnętrznej wolności i ich przekona-

nia, że obecnie nie jest dobrze i należy to zmienić. Bóldak-Janowska zachowała styl wypowiedzi swoich rozmówców, wydaje się też, że nie poddawała ich redakcyjnej obróbce, nie analizowała, nie grupowała ze względu na charakter odpowiedzi czy jej treść – stąd książka sprawia wrażenie miejscami nielogicznej i nieprzemysłanej. Usprawiedliwia to trochę zamysł stworzenia „refleksji kolorowej, a nie czarno-białej”, zapisu myśli wielu osób, a nawet wielu pokoleń, zapisu nie tylko pamięci, ale również krytycznego spojrzenia na przeszłość i teraźniejszość. Stąd w *Co dobrego było w peerelu?* nie ma jasnego przekazu, jednoznacznej odpowiedzi, czy było dobrze czy źle, ale też nie to było jej celem. Wszak od jednoznacznych odpowiedzi jest *mainstream*, a od tego Bóldak-Janowska niestrudzenie się dystansuje.

Tamara Bóldak-Janowska, *Co dobrego było w peerelu?*, Olsztyn, 2009.



Józef Gielniak, I QDiLP



**Zdzisław Lomperta** (Szczytno)  
z cyklu „Wiersze o wielu tematach”**Kolar**

A jeśli ludzie  
Nie są prawdziwi  
W świecie wymyślonym  
Kochany piesku  
Życie przechodzi  
I liże rany  
Pod ręką umęczoną  
Smak krwi  
Do apelu gotowy  
Zapach dawny  
Jest pod prawdą  
Zapomnianą  
W obliczu sieroty  
W obczyźnie  
Ty  
Byłeś w tym życiu  
Rzeczywisty

09.06.2007 r.

**Słoneczko**

Gdzie jesteś moje Słoneczko  
Czarodzieju dni i nocy  
Srebrny promieniu Księżycy  
Ze światłem wędrownicy w oczach  
Napełnionej przeznaczeniem  
Z tajemnicą życia arki  
Z imionami naszej drogi  
W której nasz Feniks ma gniazdo  
I jest czerwony i złoty  
Powraca do swojej matki  
Brzask jego jest już zaranny  
Nasz ojciec pradawny tam jest  
Tam płacz wieczności się toczy  
Jest bliski i dobrze znany  
Obolały otwórz lament  
Niech oczy go wylewają

16.07.2006 r.

**Żurawie**

Noc powoli puszczała ciemność  
Między rozlanymi wodami  
Między trzcinami  
Z pomarańczowym wielkim Księżycem  
Poświatę nakładała  
Na pagórki  
Wyciągając je ze snu

Spod gwiazdzonego płaszcza  
Siostrę Słońca prowadziła  
Różanym szlakiem  
Którym świetliste rumaki pędzą  
Noc  
Do podziemnych bogów  
Zaprowadziła swoich strażników

Żurawie spod skrzydeł  
Drugą nogę wyjmowały  
Wyciągały świt  
Z brylantów rosy  
Rozwieszając go po niebie  
Przy wtórze  
Złotego hejnału  
Ze swoich gardel  
Ten niósł się aksamitem po ziemi  
Złotą strzałą przez okna wpadał  
Budził dziewczęta i chłopców  
Zmorzonych nocnymi pocałunkami  
Ogłaszając im  
Ich wieczną wędrownkę

**Obiecanki**

Ani obiecanki ani cacanki  
Nie znalazłem na powłóczystych wierzbach  
Zimową porą nawet śnieg z nich spada  
A gdy są zielone to ciągle płaczą  
Ze spuszczonej liskami do ziemi  
Za moim oknem tylko one rosną  
Są codziennie cudownie nostalgiczne  
I jak mam się zalić do smutnej wierzby  
Do tej mazurskiej samotnej płaczki

26.09.2003 r.

**PANORAMA****Piotr Bierzyński** (Olsztyn)

**przybyłem, zobaczyłem, spóźniłem się**  
spóźniłem się na zachód słońca  
pojechałem perony  
kacem zaprzęgnięty  
zamiast bagażu tabula rasa  
zamiast krwi atrament  
bezużyteczne  
na pustym peronie do słońca zachodu

**Dom**

ułożyłem ściany w kącie  
sprawdziwszy najpierw  
posiadanie uszu  
teraz bezpiecznie  
mogę nakryć cię niebem  
i obudzić w domu  
nie tylko bez klamek  
ale drzwi i ścian

**Nieudana operacja**

wylizałem się z ran  
teraz niesmak w ustach  
zszyty byle jak  
tracę władzę w członkach  
jedynie słuch i wzrok nie zawodzą  
a to najgorsze

**Konkurs**

rozpisano konkurs  
wymagania:  
niski wzrost  
donośny głos  
wrodzony sarkazm  
brak autorytetów  
sprawne operowanie ironią i aluzją  
szczerłość  
wykształcenie wyższe  
doświadczenie życiowe  
upodobanie do nakryć głowy z dzwonekami

nie tak łatwo zostać błaznem



## Waldemar Tychek (Olsztyn)

### Pozory

chciałem pomiatać wystąpieniami  
 obcej kurtuazji  
 liczyć „moje” „ja”  
 lub „id” czy „libido”  
 czy jakoś tak...  
 poddanym jestem  
 rżęsami zmiataam kurz  
 ze stóp... obcych  
 zamiast umyć  
 ale to by było pod publiczke  
 za to  
 oddam bezdomnemu umysłem  
 moją dłoń brudną kłamstwem

### Dumny i lekki

bezboleśnie wywróciłem duszę  
 na drugą stronę  
 wykręciłem  
 ciemną krewią po łokcie  
 oblepiony  
 usnąłem

latami obarczony  
 powstrzymywałem ruch  
 chwile kradnąc  
 sekundy tykałem

teraz  
 po dniu zakrwawionym  
 dumny i lekki  
 ściskam duszy smycz

### Karmiono się chlebem

J. I.

karmiono się chlebem i czerwoną latarnią  
 ratusze zamieniono w kopce przeludnionych  
 krawężnik wariat szaleńczo wyprowadził  
 od wydętych niedyskrecją brwi atrakcji się domagał  
 począwszy od wnikliwego strip-teasu  
 niektórych przymuszono do otwierania bram  
 a potem w głąb rzucono kamieniami  
 po przekątnej bombardowano nieustannie  
 językiem siano spustoszenie i panikę wśród maluczkich  
 nad kielichami gwiazdki koniaku  
 wędrowały podstępnie naprzeciw zapomnianym  
 których godność szklankami wyniesiono  
 pamięć ucierniono by drażniła kosztownym brokatem  
 tej jesieni opuszczony śniłem  
 w kolejnej rocznicy zaduszek moich przyjaciół  
 pigułki przeciw ich wzgardzonej wzniosłości  
 od dawna uznano za przeterminowane



Andrzej Zalecki, X ODiLP



Adam Buszek

## Koncert na szklanę i telefon

Wokół *Pętli* Wojciecha Jerzego Hasa

Biel początkowych napisów wschodzi i gaśnie w leniwym, cierpliwym tempie. Prawy, centralny fragment zaćmionego, mglistego tła wypełnia równie nieostra postać mężczyzny ukazana nieomal pełnym planem z profilu. Rozpoznać pozwala się zarys odświetlonej, eleganckiej garderoby człowieka – nieruchomego, jakby wyczekującego w oprawie stopklatki na wygaśnięcie ostatnich liter nazwisk członków zespołu filmowego. W lewym kącie kadru, na pierwszym pod warstwą napisów planie – potężna tarcza czarnego telefonu. Muzyczna asysta tętni niepokojąco, jakby echem podniosłej grozy.

\*

Ten szkic filmowej ekspozycji wydaje się ściśle ilustracyjny, zwyczajowo rozpoznawczy, ponieważ znajomy: podobny wielu innym wstępnym komentarzom do dzieł X Muzy. Kreśli tymczasem powitalny kontur przeraźliwej sytuacji więziennej. Kuba (Gustaw Holoubek) jest podopiecznym swobodnego zakładu karnego. Nałóg alkoholowy skazuje go na okrutny pobyt w więziennej celi udreżonej pamięci, sennych koszmarów, półjawnych wizji, demonów zanikającej i powracającej świadomości. Otwierający kadr jeszcze przed pierwszym słowem czy gestem bohatera przenosi widza w mikroprzestrzeń dramatu – skróconą prawem mglistego prologu do czterech ścian ponurego pomieszczenia i kruczocznego telefonu, który zdradzi się wkrótce jako rekwizyt złowieszczy.

Z mikrochwila zaniku ostatniego napisu bohater ruszy w stronę okna, mijając po drodze przybity do ponurej ściany wysłużony portret w medalionowej oprawie. Zaciemniony dotąd kadr rozjaśnia się. Wybija gong zegara. Mężczyzna obraca w dłoniach ręczny zegarek. Bohater wygląda przez okno i natychmiast oczom widza ukazuje się pełny widok: ogólny plan brukowanej miejskiej ulicy, dwie ludzkie sylwetki stojące pod drabiną, fronton budynku z przybitym do niego zegarem i fragmentem jubilerskiego szyldu. W ciętym przejściu między ujęciami powraca półzbliżenie lokatora zapatrzonego w okno, który wypowiada kluczowe, wiążące opowieść słowo „osiem”. Wybija kolejny gong – tym razem dzwonek. Krystyna, narzeczona Kuby, przypomina o wizycie u terapeuty, którą wyznaczono na godzinę szóstą. Za kilka minut mężczyzna odprowadzi wzrokiem spieszącą na pociąg ukochaną kobietę i nieznajomą dziewczynkę zapamiętałą w tańcu ze skakanką. Od oczekiwanego spotkania dzieli bohaterów siedem gongów zegarowych kukulek.

Wstępny pakiet kadrów szkicuje nie tylko postaci i scenografię dramatu. W podstawowym wymiarze stroi jego melodię, zawiązuje tempo, inicjuje ton. Ciężki gong ulicznego zegara, głuchy dźwięk dzwonka u drzwi to jakby uderzenia wewnętrznego metronomu bohatera. Alkohol w zawrotnym, kapryśnym, okrutnym natężeniu na przemian rozrzęda i zagęszcza poczucie czasu. Więzień nałogu

miota się w nieznośnym oplocie miarowych stuknięć, które nie porządkują rozproszonych sekund, minut, godzin, dni i tygodni, ale zderzają je w swoisty kakofoniczny bełkot. Regularność wahadła staje się sygnaturą udreżającego chaosu. Już pierwszy kadr – na razie milcząco – obwieszcza dojmującą, ostentacyjną obecność telefonu, który wkrótce za sprawą kolejnych dzwoniących znajomych Kuby przeobrazi się w bezlitosny megafon natrętnych przypomnień, wyrzutów, pouczeń, anegdot, użalań i pytań. Każdy kolejny telefoniczny sygnał zbliża do granicy wytrzymałości, sonduje próg bólu. Tempo dramatu narasta już od pierwszej wizyty Krystyny: w przyspieszających kłatkach burzliwej rozmowy, kolejnych cięciach, przenikających się intensywnie zbliżeniach i półzblizeniach, bliskich i średnich planach, intensywnych, żarliwych detalach. Twarze i sylwetki bohaterów oblepia jaskrawe, tłuste światło – jakby nerwowe, skrycie podejrzone, zarazem upajające i oślepiające. Pukający do drzwi pokoju krawiec ukazuje się w popiersiowych ujęciach na tle ciemnych prostokątów ścian i niskiego, przytłaczającego sufitu: kamera kreśli linię obniżonego horyzontu, kontury kurczącej się przestrzeni. Pętla stopniowo, nieuchronnie się zaciska.

Zegar zdążył odmierzyć dwie minuty, przygaśł na trzecim planie, pozwolił zaświecić gorączkowym, przerażonym oczom zakładnika alkoholowej pokusy. Melodia dramatu załamuje się. Ciasny prostokąt pokoju ustępuje labiryntowym korytarzom niepokojącego miasta. Autobusowe klaksony odbierają głos telefonem i dzwonek. Kameralne szmery i pogłosy giną w bezładnych ulicznych polifoniach.

Monotonne, przygnębiające zaułki lśnią od deszczowych kropel. Kuba przemierza świat, który wydaje się wszechogarniającą, tłustą, hipnotyzującą cieczą. Każda miejska przygoda zanosząca woń spirytusu: niewybredne docinki ekipy remontowej, katarynkowe gadulstwo napotkanego znajomego, wypadek autobusowy, wreszcie bójka z dwójką włóczęgów i obskurna wizyta w izbie wytrzeźwień. Ujęcia przeplatają się nerwowo, natarczywie, w rytmie kapryśnym a przenikliwie podstępny. To rytm oczekiwania na uroczystą godzinę szóstą, która ma nakreślić wstępny plan ucieczki od czasu. Rytm rwany brutalnie słowami, gestami, obrazami pełnymi alkoholu. Rzut rytmu szkicuje wirtuozerska sekwencja kadrów z dalekiego planu: skrzyżowanie lśniących deszczowo ulic, płatanina torów, drobna sylwetka przemierzającego ją mozolnie bohatera i dźwiękowy akompaniament jego rozmarzonych myśli – myśli oczekujących godziny szóstej, w istocie zarazem pierwszej i ostatniej. Klatki filmowej błony wędrują niespiesznie. W głowie Kuby wrząca gonitwa. Upagniona godzina wydaje się na wyciągnięcie trzeźwej dłoni. Dłoń wymierza jednak cios ulicznemu awanturnikowi. W piwnicznym mroku izby wytrzeźwień rozdzierający wrzask stałego klienta. „Napijmy się na zgodę” – wołają dwaj



provokatorzy krótkiej bójki. Kuba odmawia: „Spieszę się”. Chłopcy bawią się na dziedzińcu zapuszczonego podwórka. Dziewczynka tańczy – tańczyła właśnie – ze skakanką. Mężczyzna pyta gorączkowo o adres najbliższej knajpy. „>Pod orłem<, za rogiem”.

\*

Nie istnieje człowiek, którego czas wewnętrzny miałby charakter linearny. Między godziną czwartą a szóstą myśli Kuby przemierzają pory dnia, dni tygodnia, pory roku i lata. Obejrzą się za siebie i wybiegną poza niewidzialny punkt horyzontu. Lokal „Pod orłem” oferuje trunki, tańce i bardzo osobliwą punktualność. Kuba spóźni się na umówione spotkanie, ale przychodzi w samą porę, aby – z pomocą spirytusowego kompana – zważyć poczucie sensu i wolę życia.

Nad barową ladą bohater w szerokim płaszczu i stylowym kapeluszu nurza się w tytoniowych oparach. Przez kilka sekund leniwej wędrówki papierosa wokół ust wybrzmiewa absolutna pauza ciszy. Nie słyhać zakrzętań barmanki ani znaków obecności klientów. Tańczą obfoki dymu, zasnuwając twarz palacza. Nagle przemawiają jego oczy. Żrenice skracają, głowa odwraca się. Wszystko wobec urzeczywistnienia kamery, która przemieszcza się dyskretnie, niewidzialnie nieomal, dopiero w mikrochwili ukazania się nowej postaci. Dawny „najlepszy saksofonista w tym kraju” (Tadeusz Fijewski) przedstawia się w pełnym planie i niezdarne zagaja nieznanego. Tak kielkuje coś więcej niż towarzyska gawęda: w dramacie Kuby wschodzi perypetia.

Oto rytm: odbijanych szklanek, krótkich zamówień, zdań rozpoznawczych, odurzonych zwierzeń, refrenicznych wspomnień, rozpaczliwych wyzaleń. Rytm kadrów: akcenty równoczesne, naprzemienne zbliżenia i oddalenia. Do opowieści-melodii wkrada się takt lustrzany. Powraca halucynogenna klątwa Kuby: rozdzierająca podwójność. Podwójność czasu, awersy i rewersy świadomości, podejrzane dyfuzje snu i jawy, delirium ufności i rozpacz. Kuba przegląda w alkoholowym towarzyszysie swoje roztrzęsione, bezradne iluzje powrotu do trzeźwego strojenia siebie i świata, do przepisowego pomiaru chwil, do zegarmistrzowskiego tętna codzienności. „Najlepszy saksofonista w kraju” przelknął już wszystkie iluzje – jest własnym „jutrem” spiralnie pijącym do własnego „teraz”. Nie ma powrotu do żadnego „wczoraj” podobnie jak śladu przytomności w hektycznym pijackim amoku.

Odurzony Kuba dopomina się od kompana dalszego ciągu zain-tonowanej melodii. „Jaki jest koniec? Najważniejszy jest koniec. Nic innego się nie liczy”. Odpowiedź jest legendarna niczym zagadkowa fama najlepszego saksofonisty.

W pytaniu tli się głuchy zapach sznura. W spirytusowym uniesieniu ręce bohatera zacisną się na kołnierzu koszuli współbie-

siadnika. Coś się jeszcze wydarzy, wybuchnie knajpiana awantura, narzeczona raz jeszcze zanuci kołysankę dla ukochanego opoja. Najistotniejsze – najdosłowniej wiążące – odbije się jednak nazajutrz, tuż przed kolejną wizytą Krystyny. W ostatecznych, przeszywających słowach monologu. W lotnym, momentalnym pasażu półzblieżeń. Na lustrzanej tafli goszczącej rozbitą naścienny obraz i surową sylwetkę oślepiętego słoneczną łuną krzesła. Po chwili rozlegnie się pukanie do drzwi – obiektyw podąży za wzrokiem bohatera i zdjęcie cienisty zarys sylwetki krawca. Kuba jest wystraszony i gotowy. Podobnie jak bezwzględnie sterylny ogólny plan i akompaniująca scenom muzyka.

Zapach sznura okazuje się bezdźwięczną wonią telefonicznego kabla. „Uciec od głupców, którzy zatracili poczucie czasu i zajmują się wyłącznie regulowaniem zegarków”. Kiedy dramat Kuby rozwiązuje się w ucisku pętli, wybija legendarna, refreniczna godzina ósma. Ostatni rzut oka na ulicę, drabinę, dwóch mężczyzn pod ulicznym zegarem. Ostatnie słowo – „osiem”. Przemierzająca podwórko sylwetka Krystyny.

Muzyczna koda: niema twarz krótkowłosej kobiety wyobrażonej na afiszowej ścianie sąsiedniego budynku. Długi, uparcie nieruchomy kadr. Smukła głowa, zawieszona, cieniste spojrzenie dużych oczu. Trzykrotny gong dzwonka. „Tylko koniec się liczy” – mówić wczoraj Kuba.

\*

Trudno zażegnać uparte podejrzenie. Dotyczy ono zadziwiającego napięcia pomiędzy czasem, muzyką i plikiem ruchomych kadrów. Encyklopedia orzeknie zapewne, że muzyka pozwala mianować się uporządkowanym ruchem struktur dźwiękowych w czasie. Łacińskie *compositio* to „złożenie”, „zestawienie”, a zatem przemyślany ruch elementów. Jeden z opiekunów tego ruchu powiedział – mówi – powie: „Moje kino, narracja filmowa ma charakter wizualny – jej punktem wyjścia jest zawsze literatura. Operowanie czasem. Skróty czasowe. Skoki w czasie. Jego boczne odnogi i różne warstwy. Domeną malarstwa jest przestrzeń, domeną literatury i filmu – czas. Igraszki z czasem uruchamiają wyobraźnię filmowego odbiorcy (...) podstawowy dla mnie temat kina – to temat wędrówki”<sup>\*\*</sup>.

\* Wojciech Jerzy Has, wypowiedź cyt. m.in. za: [http://www.culture.pl/baza-film-pelna-tresc/-/eo\\_event\\_asset\\_publisher/eAN5/content/wojciech-jerzy-has](http://www.culture.pl/baza-film-pelna-tresc/-/eo_event_asset_publisher/eAN5/content/wojciech-jerzy-has) Wędrówka – czyli audiowizualna przygoda kompozytora.

#### Wypis z biblioteki inspiracji

Konrad Eberhardt, *Wojciech Has*, Warszawa 1967.

Krzysztof Kieślowski, *Autobiografia*, oprac. Danuta Stok, Kraków 2006.

Grzegorz Królikiewicz, *Anty-Faust. Próba analizy filmu Michelangelo Antonioniego. Zawód reporter*, Łódź 1996.

Marcin Maron, *Dramat czasu i wyobraźni. Filmy Wojciecha J. Hasa*, Kraków 2010.

Wojciech Wierzewski, *Film i literatura*, Warszawa 1983.

[http://www.culture.pl/baza-film-pelna-tresc/-/eo\\_event\\_asset\\_publisher/eAN5/content/wojciech-jerzy-has](http://www.culture.pl/baza-film-pelna-tresc/-/eo_event_asset_publisher/eAN5/content/wojciech-jerzy-has)

<http://wojciech-has.republika.pl/>



## Katarzyna Enerlich Zaklinanie nieobyczajowe

Wróciłam do pustego mieszkania. Prawdę mówiąc, w głębi serca miałam taką nadzieję, że nasze spotkanie zakończy się inaczej, a tego finału domagało się moje osamotnione i wciąż jeszcze młode przeciwieństwo. Bałam się jednak zaangażowania, tyle lat minęło, od kiedy moja samotność stała się moją codziennością. Nie, nie mogę teraz myśleć o Marku, to bez sensu. Byleby się nie zakończyło. Miałam jednak przeczuć, że gdybym tylko sobie na to pozwoliła, stałoby się to prawie natychmiast.

Mijały kolejne dni mojej pracy w Warszawie, nowe sprawy pochłonięły mnie bardzo. Minęło już pół miesiąca, od kiedy zamieszkałam w tym wielkim mieście, byłam tu nieco zagubiona, ale na szczęście mam mało czasu, by się nad tym zastanawiać. Marek nie odzywał się, chyba wyczuł, że dałam mu kosza, ja starałam się o nim nie myśleć, bo wiedziałam, że w moje serce wystarczy tylko dmuchnąć, by rozniecił się nieznanym mi dotąd ogień. Celowo zatem milczałam.

Któregoś dnia pojechaliśmy z załogą do Bydgoszczy na otwarcie nowej drukarni, a właściwie starej, tyle że z nowym sprzętem. Podziwialiśmy jego możliwości, wypytywaliśmy o serwis i pieniądze, jakie poszły na inwestycję. Nie pasjonowały mnie zupełnie sprawy maszyn, byłam tylko trybikiem w mojej firmie, który znalazł się w niej z konieczności. Wracaliśmy dość późno, zapadł już zmrok i zrobiło się lekko chłodno, owinęłam się kocem, znalezionym z tyłu służbowego samochodu. Ktoś z moich współpasażerów zaproponował, że może już w Warszawie zajdziemy do sympatycznego lokalu na Mokotowie i zjemy coś porządnego na koszt naszej firmy. Ten ktoś tu bywał i mówił, że miejsce sprawdzone. Nie miałam wprawdzie zbytnio ochoty, bo tęskniłam za domem i spokojem, jaki sobie stworzyłam na moim Nowolipiu, zgodziłam się jednak, myśląc czysto praktycznie. Nie będę musiała nic przyrządzać u siebie, zawsze to jakaś oszczędność czasu i pieniędzy. A i tak jadłam marnie, bo odkąd byłam sama, nie zabiegałam raczej o kulinarne rytuały, co jednak nie przełożyło się na liczbę miękkich zagłębień tu i ówdzie. Miejsce parkingowe było, jakby na nas czekało, obok rzucającego się wyjątkowo w oczy błękitnego forda maverika. Weszliśmy do wewnątrz, lokal był dwupoziomowy, my poszliśmy od razu na górę. Kątem oka dostrzegłam przy stole pod oknem znajomy profil. Marek! Chciałam uciec za fragment dekoracji, żeby mnie nie widział, nie dostrzegł, ale było za późno. Marek zobaczył moją twarz w lustrze. Spojrzał na mnie badawczo, omiótł wzrokiem osoby, z którymi tu przyszedł i... podszedł do mnie krokiem pewnym, z uśmiechem na ustach.

- Joanno, witaj, co u ciebie? Czy mogłabyś chwilę ze mną porozmawiać?

Jasne, że mogłam. Serce zaczęło mi łomotać jak ptak w klatce, czułam, że chyba nie powstrzymam dłużej tej fali uczuć, że nie dam rady, że tamto zaczyna powracać jak duch z przeszłości.

Nie wróciłam już do stolika. Wyszliśmy razem, wsiedliśmy do błękitnego forda maverika, który okazał się własnością Marka, i pojechaliśmy do mnie. Naprawdę, nie miałam wtedy innego wyjścia, moje serce pojeżdżało w kierunku od lat mi nieznanym, na nic zdały się moje nig-

(część 6)

Minipowieść w odcinkach

dywycia i zanicwświecia. Byłam samotna tyle lat, złożyłam niemalże śluby panieńskie, a tymczasem pojawił się Marek z mojej przeszłości, która była taka spokojna, pozbawiona problemów i zdrad.

Moje łóżko przyjęło nas cichym jęknięciem, Marek rozbierał mnie powoli, wysypywał z ubrań w całkowitym milczeniu. Ja bałam się jego dotyku, a jednocześnie tak bardzo go pragnęłam. Przypominałam sobie jego dłonie, tak przed laty chciwe i niezręczne, dziś były już sprawne i czułe. Nauczył się przez lata dorosłości, widać po nim doświadczenie – pomyślałam, poddając się dotykowi. Po chwili byłam całkiem naga. Wstydliwie przykrywałam prześcieradłem swoje ciało, które wydawało mi się w niektórych miejscach zbyt pełne, on jednak chyba to rozumiał, odchyłał te miejsca i całował. To był znak, że akceptował mnie taką, jaką byłam, co mnie wyraźnie ośmieliło i pozwoliło moim dłoniom powędrować po jego ciele. Oddałam się pieszczotom, a po chwili Marek pochylał się nade mną i wszedł we mnie spokojnie, z każdym ruchem przybliżając mnie do cudownej rozkoszy, która falowała we mnie, unosiła do góry, nieznaną od tylu lat. Nie sądziłam, że odczuję jeszcze to, co kiedyś, na początku naszego życia z Antonim. Potem w swojej czułości zastąpił na chwilę i jęknął głośno, bardzo głośno, krzywiąc nade mną twarz. Oddychaliśmy coraz wolniej, rozpamiętując to, co przed chwilą między nami zaszło. Patrzyłam na mężczyznę obok mnie i czułam coś w rodzaju odwiecznego jak byt spełnienia. Nareszcie – pomyślałam, bo teraz dopiero uświadomiłam sobie, jak bardzo przez te lata brakowało mi mężczyzny.

- Marku, zostaniesz na noc? – zapytałam, pewna wręcz, że się zgodzi, bo po takim oddaniu się nawzajem nie można po prostu wstać i wyjść.

- Nie, nie mogę, nie tym razem, choć było mi tak cudownie – odpowiedział.

- Marku, zostań – uświadomiłam sobie, że miałam nigdy nie pragnąć nocy z mężczyzną, a tymczasem sama o nią prosiłam.

- Nie mogę, bo co powiem w domu? – zapytał bezwiednie.

Podniosłam się na ramieniu, zaskoczona odpowiedzią.

- Jak to w domu? – może nie dosłyszałam.

- No, żonie. Będzie się martwiła przecież. Zostanę na noc, jak wyjedzie w delegację. Często wyjeżdża. Jest kosmetyczką we wiodącej firmie i jeździ na pokazy.

- No, chyba żartujesz? – czułam się jak uderzona w głowę czymś ciężkim.

- Znaczy, że co? Że wyjeżdża? – zapytał nieprzytomnie.

- Marek! Ty masz żonę?! Przecież mówiłeś, że jesteś samotny w wielkim mieście i tak dalej!

- Joaśka, no, jestem samotny, bo to już nie to, co kiedyś. Łączą nas sprawy zawodowe, mamy dom, samochód, ale tak naprawdę to jestem bardzo samotny! I cieszę się, że jesteś ze mną... No, chodź do mnie – zamruczał.

cdn.



## Marek Jędrasik

# Ostatnie ofiary propagandy PRL-u

Każda władza polityczna musi mieć swoje uprawomocnienie, czyli legitymizację, bez tego redukuje się do czystej przemocy. Max Weber wyróżnił trzy typy takiej legitymizacji. Pierwszy to racjonalistyczny, do którego możemy zaliczyć władzę demokratyczną, wybraną zgodnie z systemem prawnym danego państwa. Drugim typem uprawomocnienia jest tradycja, norma obyczajowa, występująca na przykład w różnego rodzaju monarchiach. Ostatnim typem jest władza charyzmatyczna, oparta na wyjątkowych cechach przywódcy, wynikająca z jego świętości lub misji, jaką otrzymał, np. od Boga. Ta teoretyczna klasyfikacja okazuje się być pomocna do strukturalizacji zjawiska propagandy PRL-owskiej. W ostateczności propaganda polityczna służy do uprawomocnienia władzy za pomocą wszelkich możliwych środków. Tak więc prócz przekazu werbalnego wykorzystywano do tego również obrazy, nie tylko filmowe i telewizyjne, ale np. architektoniczne (czego przykładem jest choćby Pałac Kultury i Nauki w Warszawie oraz różnego rodzaju pomniki zachowane z czasów realnego socjalizmu). Propaganda występowała również w postaci bardziej ulotnej, czyli jako zrytualizowane zjawiska masowe, takie jak różnego rodzaju manifestacje – choćby pochody pierwszomajowe. Dla obywateli obecność na nich była na pół obowiązkowa, gdyż pochody miały nie tylko obrazować poparcie całego narodu dla linii partii, ale również demonstrować sprawność organizacyjną władzy do zmobilizowania ogromnej masy ludzkiej. Partia w ten sposób pokazywała, że ma w swoich rękach narzędzie do zniszczenia każdego potencjalnego przeciwnika politycznego. Tę różnorodność form propagandowych można strukturalizować w oparciu o teorię Maxa Webera. Do uprawomocnienia władzy komunistycznej za pomocą prawa służyło pojęcie demokracji socjalistycznej oraz cały system jego instytucjonalnej realizacji w postaci różnego typu wyborów powszechnych, które w rzeczywistości były czystą fikcją. Wysiłki władzy podejmowane w celu uzyskania jak najwyższej frekwencji wyborczej potwierdzały wyłącznie propagandowy cel organizacji wyborów. Frekwencja miała zaś obrazować zgodę całego społeczeństwa na system prawny wprowadzony przez władze jedynie słusznej linii politycznej. Paradoks polegał na tym, że ten cyklicznie powtarzający się teatr propagandowej demokracji przypominał całemu społeczeństwu podstawowy fakt, iż władza komunistyczna była wprowadzona i jest utrzymywana jedynie w oparciu o bagnety Armii Czerwonej. Od początku aż do końca władzy komunistycznej nie odbyły się wybory rzeczywiście demokratyczne. Nawet te z 1989 r. takimi nie były, gdyż zapewniały niezależnie od woli wyborców 65% mandatów komunistom. Wiadomo, iż pierwsze powojenne wybory do parlamentu ustawodawczego w 1947 r. były całkowicie sfałszowane przez narzuconą przez Kreml władzę. Mogłoby się wydawać, iż władzy komunistycznej nie można zaklasyfikować do drugiego typu legitymizacji Webera – przez tradycję. Tak jednak nie jest. Komuniści zdobyli władzę w Rosji w wyniku przewrotu politycznego, wojskowego, czy puczu – jak by dzisiaj ten fakt nie nazwać. Później uczyniono z tego zdarzenia fakt historyczny o tak samo przełomowym znaczeniu, jakie miała Rewolucja Francuska dla całej Europy. W przypadku Rewolucji Październikowej propaganda komunistyczna nadała jej znaczenie ogólnoswiatowe, tak więc z pewnego bezprawia przewrotu politycznego – nieciągłości prawnej – stworzono propagandowo pozytywną wartość dzięki nadaniu jej znaczenia absolutnego początku budo-

wania nowego ustroju sprawiedliwości społecznej i wzoru dla całego świata. Tak jak legitymizacja władzy poprzez tradycję odnosiła ją do jakiegoś pierwotnego tradycyjnego początku z przeszłości, tak teraz rewolucja sama stawała się takim początkiem, odnoszącym władzę do utopijnie świetlanej przyszłości robotniczych mas świata, żyjących szczęśliwie w ustroju komunistycznym. Widać tutaj idealną symetrię legitymizacji władzy poprzez utopię z legitymizacją władzy przez tradycję. Jedynie formy uprawomocnienia są różne, pozytywna i negatywna, ale funkcja jest taka sama.

W propagandzie komunistycznej występuje również typ uprawomocnienia za pomocą charyzmatycznego przywództwa, czego przykładem obecnie jest choćby Korea Północna. Ten typ nazywa się również „kultem jednostki”. W Polsce najbardziej powszechną formą jego występowania były teksty, w tym poetyckie, pisane na cześć przywódców komunistycznych. Powstało więc wiele wierszy napisanych przez czołowych pisarzy polskich na cześć Stalina, Lenina, Bieruta. Stalin w takiej propagandzie poetyckiej był postacią absolutnie charyzmatyczną – podobnie jak Lenin (nazwany przez bardzo, jak się później okazało, utalentowaną poetkę, Wisławę Szymborską, w wierszu *Lenin* – „Adamem nowego człowieczeństwa”, którego grób „wieńczony będzie kwiatami z nieznanych dziś jeszcze planet”). Ów trzeci typ legitymizacji władzy komunistycznej związany z propagandą charyzmatycznego przywództwa (całkowicie zidentyfikowanym ze Stalinem) skończył się w 1956 r. podczas przemian politycznych nowego przywódcy państwa, Chruszczowa. Pozostało więc jedynie dalsze rozwijanie demokracji socjalistycznej za pomocą rytualnego jej potwierdzania w pseudowyborach oraz świętowanie kolejnych rocznic rewolucji październikowej jako początku świetlanej przyszłości ludzkości, dążącej do systemu komunistycznego. Zostały również pochody pierwszomajowe będące jakąś formą pośrednią poprzednich typów uprawomocnienia władzy. Ostateczny upadek całego systemu propagandowego utrwalania władzy komunistycznej w Polsce nastąpił w wyniku powstania „Solidarności”, ruchu oznaki braku oparcia władzy w społeczeństwie polskim. Stan wojenny jedynie to potwierdził, będąc sam procesem redukcji władzy politycznej komunistów do czystej przemocy. Oznaczało to koniec efektywności wszelkiej propagandy PRL-owskiej. Całkowita izolacja elit rządzących w społeczeństwie polskim uniemożliwiała *de facto* dalsze rządy. Komuniści próbowali temu zaradzić poprzez częściowe, bo jedynie propagandowe, dopuszczenie do władzy opozycji, co stanowiło pewną formę legitymizacji władzy. Wybory z 1989 r. były więc mieszanką demokracji socjalistycznej i rzeczywistej. Zdumiewającym jest fakt, że wybory te ukazały siłę oddziaływania propagandy PRL wśród samych komunistów, gdyż większość elity partyjnej była przekonana o wygranej PZPR w wyborach. Można przyjąć, że do końca wierzyli w siłę demokracji socjalistycznej, która tak długo utrzymywała ich władzę. Wierzyli w to, w co chcieli, by uwierzyły miliony. Nie ma w tym nic dziwnego. W stanie wojennym stali się jedynymi odbiorcami własnej propagandy, której slogany musieli coraz częściej powtarzać z coraz większą wiarą w ich realność. Ukrywali w ten sposób przed sobą podstawowy fakt, że sami zredukowali swoją władzę do czystej wojskowej przemocy, za którą nie stały żadne racje, żadne wartości, żadna tradycja, z którą identyfikowało się społeczeństwo.





## Bożena Jankowska plakaty

Urodziła się 29 marca 1934 r. w Warszawie. W 1960 r. została absolwentką Wydziału Grafiki warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom z plakatu uzyskała w pracowni prof. Henryka Tomaszewskiego, twórcy polskiej szkoły plakatu. Była także studentką Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu. W 1946 r. zamieszkała w Olsztynie i związała się lokalnym środowiskiem artystycznym. Została m.in. członkiem Olsztyńskiego Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków. Początkowo zajmowała się plakatem i rysunkiem. Od 1982 r. uprawiała malarstwo i grafikę użytkową, była także ilustratorką książek dla dzieci. Jej prace zamieszczały wydawnictwa w Niemczech i Szwajcarii. Wiele lat spędziła w Niemczech. Pierwszą wystawę indywidualną po powrocie do Polski w 2002 r. zorganizowała artystce olsztyńska Galeria Biura Wystaw Artystycznych. Swoje prace Jankowska prezentowała na licznych wystawach krajowych i zagranicznych, zarówno zbiorowych jak i indywidualnych, m.in. w Olsztynie, Warszawie oraz w Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Luksemburgu, Finlandii, Austrii, Indiach, Grecji, Meksyku, Francji i na Kubie. Jako jedna z najbardziej utytułowanych autorek plakatów nagrody i wyróżnienia zdobywała w Polsce i na świecie, m.in. trzykrotne wyróżnienie na Międzynarodowym Biennale Plakatu, pięciokrotnie tytuł „Najlepszy plakat miesiąca”, I Nagrodę (1961) oraz Wyróżnienie Srebrna i Złota Syrena (1977, 1979) w Mediolanie, I Nagrodę w Monachium (1979, 1995, 1997, 1998), „Brazową Karocę” w Berlinie (1980), tytuł „Najlepszy plakat roku” w Wiedniu oraz Nagrodę na IX Biennale Plakatu w Katowicach (1981). Jej prace zamieszczano również na łamach czasopism, np. w „Zwierciadle”, „Kulturze” i „Szpilkach”. Była autorką plakatów, m.in. dla Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie i Pantomimy Olsztyńskiej. Najbardziej rozpoznawalnym projektem Bożeny Jankowskiej jest jednak gołąbek – symbol Ogólnopolskich Spotkań Zamkowych „Śpiewajmy Poezję”.



# B. JANKOWSKA

Plakaty ze zbiorów Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie.









## Małgorzata Bojarska-Waszczuk (komisarz konkursu i wystawy) **Quadriennale**

Quadriennale Drzeworytu i Linorytu Polskiego, którego ziesiątą już edycję prezentowaliśmy w grudniu 2011 r., jest jednym z nielicznych konkursów graficznych w Polsce, któremu udało się przetrwać nieprzerwanie prawie cztery dekady, i jedynym tak długo obecnym na polskiej scenie graficznej, poświęconym najstarszej technice graficznej.

Konkurs ten powstał dzięki inicjatywie Teresy Jakubowskiej, jednej z czołowych postaci grafiki polskiej, zaprzyjaźnionej z Hieronimem Skurpskim, ówczesnym dyrektorem Biura Wystaw Artystycznych, artystą grafiką i malarzem, animatorem życia kulturalnego w Olsztynie. Dzięki wspólnym staraniom, już przy współudziale kolejnego dyrektora galerii, Zbigniewa Hinca, Quadriennale zostało powołane przy poparciu Ministerstwa Kultury i Sztuki, a jego pierwsza edycja odbyła się w 1975 r.

Teresa Jakubowska była komisarzem pierwszej wystawy i do udziału w niej zaprosiła 20 artystów. Kolejne edycje przyciągały coraz więcej artystów grafików. Pomimo ogromnych zmian w obrębie grafiki, a zwłaszcza pojawienia się technik cyfrowych, ku zadowoleniu organizatorów konkursu nie zmniejszyło się znacząco zainteresowanie tak tradycyjnymi środkami jak drzeworyt i linoryt.

W powszechnej świadomości grafika rozumiana jest jako sztuka posługująca się czernią i bielą. Często uważana za mało atrakcyjną, nieco archaiczne medium, istniejące gdzieś na obrzeżu głównego nurtu sztuki. Sztuka dla koneserów, dla tradycjonalistów, skupiająca wąskie grono wyznawców i miłośników.

Zaprzeczaloby temu ciągle zainteresowanie tą dziedziną, rosnąca ilość imprez graficznych, wkraczanie grafiki w obszary nowych środków artystycznych, jak chociażby techniki cyfrowe.

Tradycyjne posługiwanie się czernią i bielą, choć w obecnych czasach wydaje się być mało popularne, jest czerpaniem z bogatego źródła. Specyfika grafiki polegająca na konieczności wykonania negatywu zmusza artystę do przewidywania wyniku, abstrahowania. Pozorna niewola warsztatu przynosi twórcy jednocześnie wielką swobodę, zmuszając do aktywności, przewyższania ograniczeń, ciągłych eksperymentów. Reguły rzemiosła, opór, jaki stawia artyście materiał, wywołują wyobraźnię, energię kreatywną, stwarzają warunki do poszukiwania własnego języka plastycznego, własnej metaforyki.

Współczesna grafika, w tym także drzeworyt i linoryt, nie posługuje się już jednak tylko czernią i bielą. Od dawna kolor jest obecny w grafice, zmienia się format, sposób traktowania matrycy, oczywiście jest mieszanie stylów, metod opracowania negatywu graficznego.

Przez cztery dekady trwania konkursu mogliśmy obserwować te zmiany: od rygorystycznego posługiwania się „tradycyjną” techniką, czarno-białą kreską czy plamą, poprzez fascynację kolorem, powiększenie formatu prac, aż do eksperymentów w zakresie wypukłodruku i sięganie po nowe materiały, które umożliwiają druk wypukły.

Ciągła popularność tych podstawowych technik graficznych powodowana jest niewątpliwie tym, że są one (zwłaszcza linoryt) niezwykle egalitarne. Warsztat linorytnika nie wymaga specjalnych warunków, nakładów finansowych na zorganizowanie miejsca pracy, materiałów potrzebnych do opracowania płyty graficznej, nawet sposób uzyskania odbitki możliwy jest bez użycia specjalistycznej prasy

graficznej. Jedyne, czego grafika nie wybacza, to brak czasu. Proces powstawania dzieła graficznego jest bowiem zwykle żmudny, powolny. Nie mamy tu „efektu natychmiastowego”, jest długa praca, która wymaga świetnego opanowania rzemiosła i jasno sprecyzowanej koncepcji, bo pomimo pozornej łatwości techniki błędy popełnione w trakcie opracowywania matrycy są prawie niemożliwe do naprawienia. Gest ręki wyrażający idee artysty w rysunku jest dopiero początkiem w kolejnych stopniach prowadzących do uzyskania skończonej odbitki graficznej.

Być może właśnie dlatego grafika ciągle pozostaje zjawiskiem elitarnym (wbrew swojej naturze, która od zawsze gwarantowała jej powszechną dostępność i popularność dzięki możliwości powielania odbitek). Możliwe, że to poczucie „elitarności”, więc również „odmienności”, powoduje, że w środowisku grafików w sposób szczególny istnieje poczucie wspólnoty i dążenie do współuczestniczenia w różnego rodzaju imprezach graficznych. Stąd też ciągle mamy do czynienia z dużą popularnością zarówno w Polsce jak i na świecie wystaw prezentujących grafikę na przeglądach konkursowych.

Olsztyńskie Quadriennale Drzeworytu i Linorytu, powołane w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, cieszy się wciąż nieustannie popularnością. Mimo ograniczenia możliwości wypowiedzi twórczej w dziedzinie grafiki do jednej techniki na konkurs wpływa coraz więcej zgłoszeń. Optymizmem napawa również fakt, że ciągle przybywa młodych adeptów tej sztuki i oprócz artystów znanych i ugruntowanych już w swoich poszukiwaniach twórczych, pojawiają się wciąż nazwiska nowe, artystów młodych, których świeże spojrzenie na tradycyjny warsztat jest ciekawe i oryginalne.

Kolejne edycje konkursu odbywają się co cztery lata. Jest to rama czasowa, w której tym bardziej zauważalne i wyraźne są zmiany, jakie dokonują się w obrębie samej grafiki, a które odzwierciedlają to wszystko, co dzieje się w przestrzeni całej sztuki, w sferze społecznej, ale przede wszystkim – zmiany w kształtowaniu się poszczególnych osobowości twórczych.

Od pierwszej prezentacji Quadriennale w Galerii BWA starano się gromadzić najważniejsze prace artystów uczestniczących w konkursie. Wystawom towarzyszyły coraz obszerniejsze katalogi dokumentujące działania wystawiennicze.

Dzięki wzbogacanej stale kolekcji grafiki z okazji jubileuszu konkursu w sali kameralnej Galerii BWA zaprezentowaliśmy wystawę Laureatów Quadriennale Drzeworytu i Linorytu Polskiego, prezentując prace ze wszystkich dziesięciu edycji. Galeria przez lata tworzyła kolekcję prac nagrodzonych z każdej kolejnej edycji konkursu. Początkowo były to zakupy, od kilku edycji są to dary, od 2003 r. regulamin przewiduje pozostawienie w zbiorach BWA prac nagrodzonych.

Prezentacja Laureatów stanowiła pewne podsumowanie tych z górą trzydziestu lat trwania konkursu. Była też znakomitą okazją do zaobserwowania, jak na przestrzeni lat zmieniała się stylistyka, sposób obrazowania, tematyka grafik, co artystów inspirowało przed laty, co ich fascynuje dzisiaj. Wielu znakomych twórców brało udział w prezentacjach pokonkursowych, towarzysząc konkursowi od początku, wielu znajduje się stale wśród laureatów. Wzbogaca się też wciąż o nowych uczestników i również młodzi twórcy stają się laureatami kolejnych edycji.

X edycja Quadriennale Drzeworytu i Linorytu Polskiego w Olsztynie została wystawą partnerską krakowskiego Międzynarodowego Triennale Grafiki – Kraków 2012, włączając się w krąg instytucji, które dzięki profesjonalnej wiedzy i zaangażowaniu pracujących w nich osób dbają o zachowanie i rozwój sztuki graficznej.

# SZTUKA ULICY W PRL

## O olsztyńskich dekoracjach architektury

Zbigniew Czernik



architektura



← A. Samulowski, Detal fasady restauracji „Staromiejska”, sgraffito (l. 60. XX w.)

← R. Wachowski, Plaskorzeźby na dawnym Domu Burmistrza (l. 60. XX w.)



↑ H. Oszczakiewicz, Portret Mikołaja Kopernika, róg Rynku i Zamkowej, sgraffito (1965)

Idąc ulicami olsztyńskiego Starego Miasta, warto od czasu do czasu podnieść głowę. Na fasadach kamienic odnajdziemy niezwykle ciekawe dekoracje będące swoistym wkładem olsztyńskich artystów w powojenną odbudowę Olsztyna.

Od początku lat 60-tych plastycy olsztyńscy rozpoczęli pracę na rzecz miasta. Polegała ona na opracowaniu kolorystycznym elewacji odbudowanych budynków i wykonaniu na nich dekoracyjnych motywów. Trudno jest jednoznacznie odtworzyć proces decyzyjny w powstawaniu owych dekoracji. Przy braku archiwaliów jego odtworzenie możliwe jest tylko fragmentarycznie w oparciu o nieliczne zachowane i znane fakty. Z racji, że część interesujących nas dzieł jest sygnowana i datowana, możemy poszczególne prace przypisać konkretnym artystom. Jedyna zachowana w literaturze wzmianka o zdobieniu elewacji informuje, że były one wykonywane według indywidualnych, konkursowych projektów. Powstające prace nie nawiązywały do historycznych motywów – przedwojenny Olsztyn nie posiadał takowego zdobnictwa. Większość kamienic posiadała prostą, pozbawioną dekoracji elewację. Możliwym impulsem do podjęcia działań mogła być dekoracja Starego Miasta w Warszawie, które było swoistym wzorcem w odbudowie i kreowaniu zniszczonych zespołów staromiejskich. Odbudowane kamienice warszawskiej Starówki pokryto w pierwszej połowie lat 50-tych bogatą dekoracją tematycznie nawiązującą do historii i legend warszawskich. Nie wykluczone jest więc, że to realizacje warszawskie podsunęły pomysł na olsztyńskie dekoracje.

Większość olsztyńskich prac wykonano w technice kolorowego sgraffita. Kolor – niezwykle trwały i do dziś wyrazisty – otrzymywano, barwiąc w masie tynk pokruszonymi cegłami bądź kafkami piecowymi. Sgraffito to technika niezwykle trwała, ale wymagająca od artysty szybkiej, zdecydowanej pracy. Polega ona na opracowy-

waniu obrazów w mokrym tynku. Poza sgraffitem spotykamy płaskorzeźbę, mozaikę, ceramikę oraz metaloplastykę.

Zakres tematyczny prac staromiejskich oscyluje wokół tematu pracy ludzkiej. Da się on zamknąć w trzech grupach. Pierwsza – zajęcia związane z regionem warmińskim, ukazane w ludowej manierze. Tu warto spojrzeć na podcień kamienicy na rogu Rynku i ul. Prostej, udekorowanej przez artystów Bolesława Wolskiego i Henryka Oszczakiewicza. Operując kreską, w prostych obrazach przedstawili zajęcia Warmiaków: patrząc od ul. Prostej, widzimy jeźdźca z koniem, rolnika, żołnierza, scenę polowania, a od strony Rynku – kobietę niosącą wodę i rybaka. Wszystkie te sceny uzupełniają motywy kwiatowe. Praca jest sygnowana – pod jeleniem ze sceny polowania odczytać możemy inicjały *H.O i B.W. 1966*. Do grupy tej możemy zaliczyć też obrazy z ul. Staromiejskiej – tańczącą parę w strojach warmińskich (być może autorstwa Mieczysława Romańczuka), dwa duże, sgraffitowe przedstawienia mężczyzny i kobiety w regionalnych strojach tuż obok Wysokiej Bramy autorstwa Andrzeja Samulowskiego, którego inicjały zachowały się w dolnych częściach obrazu. Bez wątplenia rękę A. Samulowskiego możemy rozpoznać w dekoracji szczytu kamienicy nr 6, przedstawiającej jeźdźca na koniu i mężczyznę z kontrabasem. Do zajęć Warmiaków nawiązuje też dekoracja kamienicy przy rogu Staromiejskiej i Targu Rybnego. Róg budynku zdobią cztery obrazy: garncarz i prządka oraz rybak i kobieta z koszem owoców, wszyscy w strojach ludowych.

Druga grupa związana jest z motywami nawiązującymi do przeznaczenia budynków i ilustruje ich funkcje (np. herby cechów na starym i nowym Domu Rzemiosł, restauracja „Staromiejska” ze świetną dekoracją A. Samulowskiego i Jana Ilkiewicza, nawiązującą do tematyki „gastronomicznej” czy apteka z symbolem farmacji).

Trzecia – to motywy geometryczne i motywy roślinne stano-



B. Wojski, E. Kochanowski, Detal fasady dawnego kina „Awangarda”, sgraffito (1974)

wiące dopełnienie dekoracji figuralnych bądź występujące jako samodzielne dekoracje (np. ul. Prosta). Możemy też wyróżnić pojedyncze dekoracje autorskie tematycznie nie związane z powyższymi, ale nawiązujące do regionu Warmii i Mazur. Wymieńmy tu dla przykładu: sgraffitową dekorację z 1974 r., nawiązującą być może do Roku Kopernikańskiego na dawnym kinie „Awangarda”, autorstwa Eugeniusza Kochanowskiego i Bolesława Wojskiego, dekoracyjny fryz na rogu Staromiejskiej i Lelewela z 1973 r., sygnowany *B.J.W.*, czy portrety znanych Warmiaków na rogu Rynku i Zamkowej autorstwa Marii Szymańskiej i Henryka Oszczakiewicza.

Dopełnieniem sgraffitowych obrazów są utrzymane w duchu symbolizmu płaskorzeźby Ryszarda Wachowskiego – świetnego rzeźbiarza, ucznia Xawerego Dunikowskiego. Znajdziemy je rozrzucone na paru kamienicach, a przede wszystkim na dawnym Domu Burmistrza. Patrząc na dzieła Wachowskiego, nie sposób pominąć ich nawiązań w formie do socrealizmu. Ich monumentalność, sposób ujęcia, a także treść sugerowałyby powiązanie ich z wymaganiami socrealistycznymi.

Dodać należy, że nie tylko Stare Miasto było obszarem działalności artystów – ich prace odnajdziemy na innych budynkach Olsztyna czy wielu miast Warmii i Mazur. Wymieńmy tu choćby sgraffitowy fryz na dawnym Urzędzie Wojewódzkim autorstwa H. Oszczakiewicza, czy płaskorzeźby na budynku Straży Pożarnej w Olsztynie, sgraffitową dekorację o tematyce ludowej na fasadzie MDK w Olsztynku, czy nieistniejącą dziś sgraffitowo-ceramiczną dekorację ściany poczty we Fromborku, sygnowaną *A.K 1973* (Aleksander Kaźmierczak), a nawiązującą do idei Roku Kopernikańskiego.

Dekoracje staromiejskich budynków Olsztyna są ciekawym zbiorem prac miejscowych artystów na rzecz miasta. Choć ich tematyka jest różnorodna, należy zauważyć, że tworzą dość jednorodny zbiór dobrze wpisujący się w powojenną kreację zniszczonego Starego Miasta. Dzisiaj sgraffita staromiejskie wzbudzają różnorakie odczucia. Mało kto zwraca uwagę na ich artystyczny czy dekoracyjny wymiar. I choć wykonane są przez znanych olsztyńskich artystów 40-50 lat temu, to w przestrzeni miejskiej traktowane są dość swobodnie i często bywają niezauważalne. Nadmienić też trzeba, że w przeciągu kilkunastu lat część dekoracji została zniszczona całkowicie – np. fryz ze Starego Ratusza czy dekoracje dawnej siedziby PSP.

#### LITERATURA:

- Z. Czernik, *Dekoracje architektury Starego Miasta w Olsztynie*, „Ochrona Zabytków” 2010, nr 1-4, s. 61-72.  
 W. Radziemska, *Historia 60-lecia działalności Okręgu Olsztyńskiego Związku Polskich Artystów Plastyków. Raport*, w: *60 lat Okręgu Olsztyńskiego Związku Polskich Artystów Plastyków*, pr. zb., Olsztyn 2008, s. 11-73.  
 H. Skurpski, *Plastyka olsztyńska*, „Warmia i Mazury”, 1965, nr 2, s. 6-9.

Anna Rau

## Książki na kółkach czyli legenda olsztyńskich bibliobusów

W 1983 r. koszt małego autobusu „Autosan” wynosił 2 miliony 20 tys. zł, zaś dużego „H 9-21” – 2 miliony 400 tys. zł. W tym samym czasie z kolei budowa skromnej biblioteki wiejskiej pochłonęłaby 4-5 milionów zł. Bibliobus, jak obliczono i sprawdzono, zastępował 5-6 niewielkich filii lub 30 punktów bibliotecznych – dlaczego więc się nie opłacał? Paradoks Polski Ludowej...

Bibliobusy miały stanowić środek zaradczy przeciw stagnacji, stałemu zmniejszaniu się wypożyczeń książek bibliotecznych oraz – w rezultacie – stopniowej likwidacji punktów bibliotecznych. W mniejszych wsiach, o liczbie 100-300 mieszkańców, punkty biblioteczne funkcjonujące w klubach „Ruchu”, Klubach Rolnika oraz prywatnych mieszkaniach zanikały, czego przyczyną były zachodzące zmiany społeczno-gospodarcze i demograficzne. Tłumaczono to również nieinteresującymi księgozbiorami, problemem z dowozem nowości oraz niechęcią użytkowników do pokonywania częstokroć dłuższych odległości z domów do punktów bibliotecznych. Na początku lat 60-tych Ministerstwo Kultury i Sztuki zainspirowane przykładem praktyki bibliobusowej w wielu krajach świata, m.in. w USA, Danii, Wielkiej Brytanii, Indiach, Afryce, na Węgrzech i w ZSRR – czyli terenach niezwykle różniących się gospodarczo, demograficznie i politycznie, próbnie wypuściło w Polskę, m.in. do województwa olsztyńskiego, kilka bibliobusów. Inicjatywa „książek na kółkach” zgodnie z przewidywaniami sprawdziła się, zwłaszcza w PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych. Wówczas też Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie przeżyła swoją pierwszą przygodę z bibliobusem. W latach 1965-1971 olsztyńska „biblioteka jezdna” zatrzymywała się aż na 29 przystankach umiejscowionych w podolsztyńskich dzielnicach i wsiach, obsługując w ten sposób około 1700 czytelników. Wypożyczono wówczas rocznie imponującą ilość 38 787 woluminów. Podliczono też koszt całości usługi – jak bardzo rentowne było to przedsięwzięcie, skoro w 1965 r. jedno wypożyczenie w bibliotece jezdnej kosztowało 2.60 zł, zaś w placówkach stacjonarnych od 1.50 aż do 5.50 zł. Całość projektu – jak widać na przykładzie Olsztyna – funkcjonowała bardzo dobrze, jednak wszystko w końcu rozbiło się o kwestię... zakupu nowych busów. Co z kolei świetnie zobrazowało zresztą mechanizm ówczesnego funkcjonowania ogólnopolskiego handlu i tkwiące w tym absurdy. Otóż kupno takich pojazdów było możliwe tylko dzięki posiadaniu specjalnych talonów na busy, jednak Ministerstwo Kultury i Sztuki nimi nie dysponowało. I choć posiadało je, i zarządzało nimi Ministerstwo Transportu – jak się okazało, współpraca międzyministerialna była w tym zakresie z jakichś powodów niemożliwa. Przez pewien czas biblioteki próbowały sobie radzić wszystkimi możliwymi sposobami, adaptując do tej funkcji wozy dostawcze, czyli żuki i osinobusy,





a c h ,

w końcu jednak projekt powoli upadł. Całość podsumowano zaskakującym dziś stwierdzeniem, iż był to „szkodliwy miraż, który odrywał od rzeczywistości” – kłopotliwy i... kosztowny. Jak widać, już wtedy na kulturę po prostu żałowano pieniędzy.

Druga tura pracy olsztyńskich „bibliotek jezdnych” rozpoczęła się uroczystie 26 maja 1985 r. Bibliobus oficjalnie funkcjonował jako Filia nr 24 Objazdowa Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie. Autobus Jelcz 043 wyposażony był w regały na książki i podstawowy sprzęt biblioteczny, zaś całość zaprojektowało dwóch znanych olsztyńskich specjalistów od wnętrzarstwa, uprzednio przeliczając funkcjonalność i trwałość. Księgozbiór liczył w chwili uruchomienia filii ok. 5 tys. woluminów. W przeważającej części była to literatura piękna dla dorosłych i dzieci, sporo lektur szkolnych (zwłaszcza na poziomie podstawowym) oraz wiele pozycji popularnonaukowych z zakresu ogrodnictwa, rolnictwa, gospodarstwa domowego, ekonomii, polityki, historii, geografii, sztuki i historii literatury. Z oczywistych względów w bibliobusie nie przewidziano czytelnicy, mimo to na miejscu można było skorzystać z podstawowych opracowań encyklopedycznych i słowników oraz uzyskać pomoc informacyjno-bibliograficzną. Tak dziś popularne zamówienia biblioteczne realizowano już wówczas właśnie w tych bibliobusach, gdyż podczas objazdu można było zamówić pożądaną publikację z tygodniowym wyprzedzeniem. Książki wypożyczano przez 5 dni w tygodniu, obsługując w cyklu tygodniowym 25 przystanków zlokalizowanych w promieniu do 20 km od centrum Olsztyna. Było to 5 różnych tras, po jednej na każdy dzień roboczego tygodnia: w poniedziałki książki dojeżdżały do Giedajt, Warkał i Likus, we wtorki do Trękuska, Szczęsnego, Starego Olsztyna, Jarot i na Słoneczny Stok, w środy do Gadów, Słup, Myk, Zalbek, Nikielkowa, Tracka i na Zieloną Górkę, w czwartki do Unieszewa, Naterek, Łupstychu i Dajtek, zaś w piątki – do Patryk, Silic, Klebarka Małego i Brzezin. Każdy z przystanków wyposażony był w tablicę informacyjną. Postój na każdym przystanku trwał od 45 minut do 2 godzin, obsługa czytelników zaczynała się o godzinie 12.00, zaś załogę stanowiło dwóch bibliotekarzy oraz kierowca. W ciągu pierwszych czterech miesięcy zarejestrowano 674 nowych czytelników, którzy wypożyczyli 5052 książki (uwaga – w ciągu czterech miesięcy!). I w końcu znów... – jak to się stało, że bibliobusy zniknęły z warmińskich dróg? Wszak sami *bibliobusowicze* w artykułach opisujących swoją codzienność podkreślali, że system działa tak na Warmii jak i na Zachodzie, a ponadto właśnie dzięki takiej formie pracy „sprytni kapitaliści oszczędzają wiele pieniędzy”\*. W Polsce jednak nadal, mimo takiego argumentu oraz mimo faktu, że Fabryka Autobusów w Sanoku corocznie wypuszczała wówczas 20-30 pojazdów, na zakup jednego z nich do celów bibliotecznych potrzeba było dziwnie nierychliwej zgody władz centralnych...

W wielu krajach Unii Europejskiej biblioteki jezdne, działające np. jako część wszystkich lokalnych systemów bibliotecznych, do dziś rozwoją lekturę czytelnikom zamieszkałym we wsiach i małych odludnie położonych miejscowościach. Według danych z początku XXI w. w Danii (gdzie biblioteki publiczne istnieją w każdej gminie) jeździły wówczas 52 bibliobusy, fińskie biblioteki publiczne działały

modelowo, funkcjonując m.in. dzięki 199 takim pojazdom, biblioteki objazdowe spełniały swoją rolę również we Francji (w liczbie 163), Hiszpanii (m.in. w regionie o najlepiej zorganizowanej sieci bibliotek, czyli Katalonii), w Holandii (ogółem 90), w Irlandii (27 bibliobusów, obsługujących 1138 przystanków) czy Wielkiej Brytanii, gdzie wizyty w bibliotece są bardziej popularne niż chodzenie do kina (w Anglii i Walii jeździło 656 bibliobusów). Książki na kółkach przemierzają również drogi w krajach Europy Wschodniej, m.in. w Słowenii (w 2001 r. 9 bibliobusów z 576 przystankami). Czy w takim razie w ramach globalizacji oraz wspólnej polityki krajów Unii kiedyś znów urzeczywistni się sympatyczny (i rentowny) obraz książek żwawo toczących się na kółkach – niczym chomiki ze swoimi spizarniami ziaren-wiedzy w kołowrotkach – przez warmińsko-mazurskie drogi? Kto wie – są takie rzeczy na ziemi i niebie, które nie śniły się współczesnym bibliotekarzom.

#### Bibliografia:

Burakowski Jan, *Bibliobus na wsi – miraż czy koniec. Pomóżmy bibliotekom*, „Tygodnik Kulturalny”, 1983 nr 15, s. 5.

(js), *Bibliobus na trasie. 25 przystanków z książkami*, „Gazeta Olsztyńska”, 1985 nr 83, s. 1.

Krukowska-Cyranowicz Katarzyna, Melnicka-Zygmunt Alina, Szadapopławska Joanna, *Zawód bibliotekarza i biblioteki szkolne w Unii Europejskiej. Formy realizacji zawodu bibliotekarza w wybranych krajach Unii Europejskiej*, [www.bydgoszcz.tnbp.pl/strony/bibliotekarstwo\\_referat.doc](http://www.bydgoszcz.tnbp.pl/strony/bibliotekarstwo_referat.doc) (dostęp: 02.2012 r.)

\* Burakowski Jan, *Bibliobus na wsi – miraż czy koniec. Pomóżmy bibliotekom*, „Tygodnik Kulturalny”, 1983, nr 15, s. 5.



Fot. ze zbiorów WBP w Olsztynie (1986 r.)

Jadwiga Bolińska\*

## Z notatnika K-owca

Do refleksji nad przeszłością i terażniejszością w kulturze doprowadziła mnie zwykła niby rzecz: reorganizacja w CEiIK-u i związane z tym przejście na „zasłużoną” emeryturę. Przejście... to rozliczenie się z księgowością, kadrami, administracją i archiwum. Wszystko po to, by otrzymać świadectwo – świadectwo pracy. Ale co ono właściwie mówi o tym, co człowiek robił?... Natomiast wiele, ale też nie wszystko, mogą o naszej pracy powiedzieć innym zdane do archiwum dokumenty. Właśnie te zdawanie dokumentacji z ostatnich lat to nie tylko papierki, ale również wspomnienia, np. jak musiałam wysilić swój intelekt, aby powstał projekt, dzięki któremu otrzyma się grant. Potem oczekiwać na akceptację oferty i pamiętać o rygorystycznym jej przestrzeganiu. Często granty i ich rozliczenia przesłaniały obraz imprezy, warsztatów, zdarzenia i samej radości tworzenia, samej myśli, że ktoś się zabawi, oderwie od rzeczywistości, ucieknie w świat iluzji... No, weźmy chociażby taką niewielką sprawę: przygotowuję do zdania teczkę o roboczym tytule „Kino”. Był rok 2007. Organizując spotkanie z dziećmi niepełnosprawnymi w ramach Wojewódzkiego Przeglądu Plastyki Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej „Moje Akwarium”, chciałam wyświetlić film *Gdzie jest Nemo*. W napisanym i zaakceptowanym do realizacji projekcie mam środki i na film, i na kinooperatora, więc dzwonię do dystrybutora – a tu niespodzianka. Dowiaduję się, że filmu nie dostanę, bo „nasze” kino ma starą aparaturę i szkoda im nowej kopii, która może ulec zniszczeniu. Pytam się: „Dlaczego, o co chodzi?”. Okazało

się, że nie mamy czytnika światła czerwonego. I to mnie zmobilizowało. Napisalam projekt do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej i obecnie w CEiIK-u można wyświetlać najnowsze produkcje, czytnik jest. Ale jak się spojrzy w dokumentację, to tam tylko suche fakty, liczby czy harmonogramy. Ale czy zawsze tak było? Pamiętam, że nie. Były czasy, że zaskoczeniem dla mnie był brak rozliczania działalności. Tak jak w 1990 r., gdy z prywatnym teatrem wyjechałam na tournée do Związku Radzieckiego. Sztuka *Seksameron* przerobiona z *Dekameronu* cieszyła się powodzeniem, bilety szły jak ciepłe bułeczki. Sale wypełnione po brzegi. Utargi niezłe. Dostawałam do ręki określoną sumę, którą dzieliłam według raz umówionych ustaleń i żadnych podpisów, sprawozdań. A niby to była jeszcze „komuna”. Za „komuny” mieliśmy mnóstwo pomysłów (ludzie kultury zawsze byli bardzo kreatywni) i najczęściej wiele z nich można było zrealizować. To, czy były słuszne, czy nie, nie interesowało szarego k-owca, od tego była „góra”. Nie było też problemu z pieniędzmi: planowało się wszystko wcześniej – i były. Często też potrzebne były do realizacji węgorze, którymi wspomagało się przyznanie funduszy przez ministerstwo (to one były na wagę złota). Gorzej się działo z dostępem do materiałów, np. scenografii. Wielu rzeczy po prostu brakowało, a te, które były, wyglądały szaro, buro i ponuro. Pamiętam, ile to razy ze wspomniałą choreografką, Marią Jolantą Felską, marzyliśmy, by turnieje taneczne wzbogacić o barwne światła (brak filtrów) i schody-schody (ale gdzie deski). Dziś – proszę – to

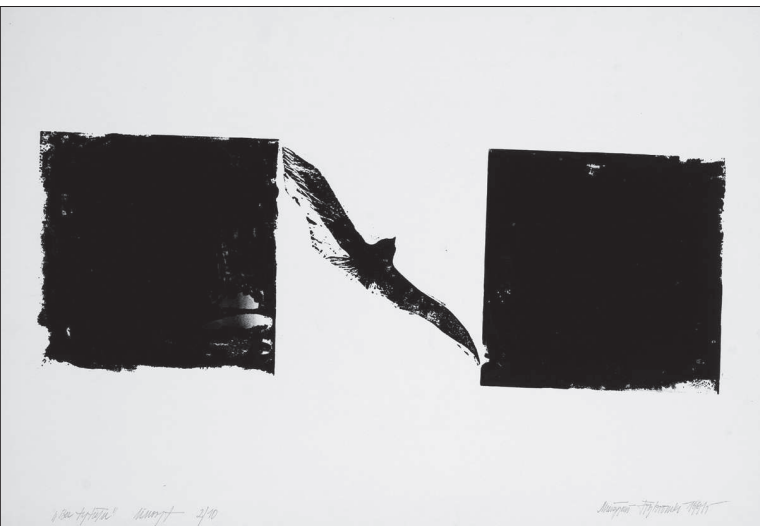
wszystko jest w zasięgu ręki, ale czy są takie turnieje w Olsztynie?

To, że Polska za „komuny” była postrzegana przez Zachód jako kraj bez dróg, wygod, a przede wszystkim bez jedzenia, przekonałam się, organizując Mistrzostwa Europy Formacji Tanecznych (tak, tak, to Olsztyn przed Elblągiem był ich pierwszym w Polsce organizatorem). Przyjeżdżające do Olsztyna formacje zaopatrzone były w walizki pełne jedzenia, kanistry benzyny i własny papier toaletowy. Jakież było ich zdziwienie, gdy się przekonali, że dojechać do nas można, a i z resztą nie jest najgorzej. Ale to tylko my, k-owcy, wiedzieliśmy, ile nas to kosztowało: i „kartek”, i znajomości, i własnej pomysłowości. Nie zawsze jednak bywało tak dobrze. Łatwiej było na turniejach, o wiele gorzej na „Poezji Śpiewanej”. Tu żadna pomysłowość ani organizacja nie pomagała.



J. Bolińska (druga z lewej) z zespołem pracowników WDK-u. Lata 70-te.  
Fot. S. Szczygiewski. Zdjęcie z archiwum autorki.





Tu zależni byliśmy od cenzury. W latach 70-tych, 80-tych często tak bywało, że tuż przed koncertem nie wiedzieliśmy, czy zgłoszone utwory będzie można wykonać. Wykreślenie „niepewnych ideowo” często nawet tylko poszczególnych słów powodowało nieczytelność utworu. Bo na przykład chodząca po dachu wrona z utworu śpiewanego przez E. Adamiak była wielkim dla publiczności zagrożeniem. A utwór bez wrony nie miał sensu. Nie zapomnę też przymusu organizacji imprez w okresach „trudnych” dla władzy. Tak było m.in. podczas pierwszego pobytu Jana Pawła II w ojczyźnie. Wielka msza transmitowana przez TV, a my, k-owcy, rozstawieni gdzieś po klubach „Ruchu” z kapelami ludowymi, zespołami amatorskimi różnej atrakcyjności ściągniętymi z całego województwa. Według władzy to mogło odciągnąć od telewizorów ludzi, którzy nie pojechali do Warszawy na spotkania z papieżem. Ale to były tylko ich życzenia...

Za „komuny” ludzie pracujący w kulturze stanowili właściwie jedną wielką rodzinę, która pomagała sobie, nie tylko w pracy. Często nasze dzieci nie знаły niedzielnych obiadków, bo rodzice byli w pracy. Na co dzień spotykaliśmy się wszyscy razem, również ze swoimi dziećmi, w stołówkach. Te przymusowe stołówkowe posiłki nie były takie złe, wspomagały rodziców. Mogli oni poświęcić więcej czasu na pracę. Bo kultura, jak i dziś, dostępna była głównie popołudniami. Nasz WDK, dzisiejszy CeilK, funkcjonował z pełnym obłożeniem sal do 22.00. Często instruktorzy prowadzący zajęcia klócili się o każde 5 minut na sali prób. Bywały czasy, że pracowało osiem zespołów równolegle, nie licząc „Mirazu” (dużej formacji tańca towarzyskiego), który dużą salę kinową okupował codziennie. Było też łatwiej osiągnąć coś wspólnie, nie istniał wyścig szturwów. Często zespoły odnosiły sukcesy nie tylko w Polsce, ale i w świecie. Ale to już inna bajka... Można by tak długo wspominać, bo z olsztyńską kulturą związałam się na blisko czterdzieści lat, ale przecież papiery trzeba posegregować, oznakować, zszyć i zdać. Może ktoś kiedyś po nie sięgnie, pisząc czy to pracę podnoszącą kwalifikacje, czy z czystej ciekawości...

\*Pracownik merytoryczny (k-owiec) instytucji kultury: Wojewódzkiego Domu Kultury, Regionalnego Ośrodka Kultury, Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych w Olsztynie, w latach 1975-2012.

## Sylwia Białecka, Robert Kuriata Dziadek Jurek

Dziadek już w dzieciństwie przejawiał liczne talenty. Obdarzony doskonałą pamięcią, poczuciem humoru, ciętym językiem, lubił być w centrum uwagi i przewodził wszystkim rodzinnym uroczystościom. Recytował wierszyki, sypał jak z rękawa opowieściami i anegdotami, dla dorosłych miał zawsze garść dowcipów i frazdek, a dla dzieci zagadek i pytań, które skutecznie zajmowały im czas. Dziś ma już osiemdziesiąt sześć lat, ale wciąż pamięta mnóstwo humorystycznych epitafiów i limeryków, a ostatnio wyciągnął ze swoich zakamarków łamigłówek, nad którymi dwa pokolenia (wnuki i prawnuki) biedziły się przez całe popołudnie. Zupełnie niedawno dowiedzieliśmy się również – przy okazji porządkowania jakichś szpargałów – że dziadek miał w swoim życiu epizody... kulturalno-oświatowe.

Wszystko zaczęło się po wojnie, kiedy młody podporucznik Jerzy Malesza skierowany został do jednostki wojskowej w Ostrowie Wielkopolskim. Jego wrodzona ruchliwość i łatwość w nawiązywaniu kontaktów sprawiły, że zaczął gromadzić wokół siebie równie ruchliwych, dowcipnych i utalentowanych żołnierzy, z którymi stworzył amatorski teatr żołnierski. Trupa ta występowała nie tylko w Ostrowie – jeździła ze swoimi spektaklami po wielu okolicznych miejscowościach i cieszyła się dużą popularnością. Żołnierski Teatrzyk 4. Dywizji Piechoty prezentował przede wszystkim humorystyczne „rewie” – przedstawienia łączące taniec, piosenkę, skecze i recytację: *Wiosenna Rewia Humoru, Z humorem i piosenką, Przypadkowy pobór kobiet, Śmiech to zdrowie*.

Później, już po przyjeździe do Olsztyna, dziadek również nie mógł usiedzieć na miejscu. Po zatrudnieniu w Okręgowym Zarządzie Kin zainteresował się pracą kinooperatora, o której po kilku miesiącach dowiedział się niemal wszystkiego, przylgając się kolegom przy pracy. Po ukończeniu odpowiedniego kursu został operatorem zawodowym i jako kinooperator pracował popołudniami w Wojewódzkim Domu Kultury w Olsztynie. Zainspirowany działalnością kulturotwórczą WDK dziadek ukończył kolejny kurs, został zarejestrowany przez Wojewódzki Kolektiw Instruktorów Artystycznych jako instruktor teatralny i kontynuował rozpoczętą za czasów wojska działalność organizatora oraz animatora zespołów amatorskich, nie tylko teatralnych, ale również wokalnych i instrumentalnych w swoich zakładach pracy. I tak w OZK zorganizował m.in. zespół mandolinistów.

Przez kilka miesięcy dziadek był również „kierownikiem kina objazdowego”, czyli... rozklekotanej ciężarówki wyładowanej sprzętem, krążącej po województwie olsztyńskim i docierającej nawet do najmniejszych miejscowości, w których organizowano pokazy filmowe. Było to często jedyne spotkanie mieszkańców z kinem, dlatego radość z filmu była powszechna – często organizowano z tej okazji zabawy z muzyką (pracownicy kina przywozili również płyty i gramofon) oraz trunkami różnej proveniencji... Ale to już zupełnie inna historia.



## Jolanta Stejer „Z piosenką rosyjską na ty...”

19 stycznia 2012 r. odbył się I Ogólnoskolny Konkurs Piosenki Rosyjskiej, którego pomysłodawczynią i główną organizatorką była nauczycielka języka rosyjskiego w Zespole Szkół w Olsztynku, Jolanta Stejer. Niektóre konkursy piosenki rosyjskiej kojarzą się z czasami PRL-u, z Rosją Radziecką i w ogóle ze Wschodem. Nasz konkurs był imprezą odcinającą się od tamtych czasów, nie miał żadnych podtekstów. Był inicjatywą wynikającą z zainteresowania młodych ludzi językiem rosyjskim. Mam nadzieję, że wpisze się ona na stałe do kalendarza imprez szkolnych.

Szkoła już wcześniej podejmowała działania rozwijające zainteresowania językowe uczniów. Każdego roku organizowany jest Dzień Języków Obcych, podczas którego uczniowie przygotowują inscenizacje w języku angielskim, niemieckim i rosyjskim. Takie inicjatywy wywołują duże zainteresowanie Rosją, krajem, o którym młodzież najmniej wie, jak też o ludziach tam mieszkających. Szkoła współpracuje z gimnazjum w Guriewsku w Obwodzie Kaliningradzkim. W ramach tego nasi uczniowie brali udział w bardzo ciekawym polsko-rosyjskim projekcie „Lider”. Zajęcia w ramach projektu odbywały się zarówno na terenie Rosji, jak i Polski, młodzież nawiązała wiele kontaktów i zdobyła nowe doświadczenia. Poprzez wspólne działania przełamujemy stereotypy istniejące w obu społeczeństwach, uczniowie poszerzają wiedzę i zdobywają nowe umiejętności, poznają też zainteresowania młodych Rosjan, ich sposoby spędzania czasu wolnego oraz marzenia. Wspólnie realizowane przedsięwzięcia przyczyniają się do zmiany nastawienia wobec siebie. Taka też idea przyświecała konkursowi piosenki rosyjskiej. „Dojrzała” ona od zeszłego roku, kiedy to dotarły do nas informacje o I Ogólnopolskim Konkursie Piosenki Rosyjskiej dla młodzieży gimnazjalnej i ponadgimnazjalnej, odbywającym się w kwietniu 2011 r. w Łodzi.

Jako że w szkole odkrywamy również uzdolnienia, promujemy talenty i prezentujemy twórczość artystyczną uczniów poprzez organizowanie różnych konkursów i imprez artystycznych (np. wystaw prac plastycznych, prac ręcznych, fotografii oraz twórczości pisarskiej), przyszedł czas na talenty muzyczne... Propozycja zorganizowania konkursu piosenki wywołała zainteresowanie wśród młodzieży. Do udziału w konkursie zakwalifikowało się 11 uczniów. Uczestnicy konkursu przy wyborze piosenek korzystali z zasobów Internetu, co zajęło wiele czasu organizatorce konkursu oraz wykonawcom. Najtrudniejsze okazało się znalezienie odpowiednich do możliwości głosowych podkładów muzycznych. Samo takie korzystanie z rosyjskich zasobów internetowych przyniosło młodzieży wiele korzyści: poznali oni nie tylko rynek muzyczny Rosji, ale i zainteresowania muzyczne młodych Rosjan. Problemem okazał się rosyjski alfabet utrudniający korzystanie z „łacińskiej” klawiatury – ale i to udało nam się przezwyciężyć.

Jury miało trudny wybór, ponieważ wykonawcy wykazali się dużym talentem muzycznym oraz, co ważne, bezbłędną wymową i dykcją. I miejsce zajęła Milena Makuch, uczennica klasy III technikum hotelarskiego, która brawurowo wykonała piosenkę pt. „Poslednij zvonok”. II miejsce – Zuzanna Murzynowska, uczennica klasy I szkoły zawodowej. Zuzia pięknie zaśpiewała liryczną piosenkę pt. „Wietra”. III miejsce przypadło Joannie Gąsiorowskiej z klasy III technikum za piosenkę „Biezotwietnaja lubow”. Świetne *show* dali chłopcy z klasy IV technikum,

wykonując utwór „Aj, aj, dziewczionka” z przeabawnym układem choreograficznym. Do udziału w II części konkursu zaproszono pracowników szkoły i uzdolnioną muzycznie młodzież. Zdziwiła wszystkich Wiktoria Siwiec, która zagrała na skrzypcach znane rosyjskie melodie. Podczas tego występu akompaniował jej na akordeonie pracownik naszej szkoły, Stanisław Wodkiewicz. Duet wzbudził ogromny aplauz publiczności. Niespodzianką dla wszystkich stał się udział w konkursie nauczycieli naszej szkoły. Beata Bukowska zaśpiewała „Kołokolczik”, a Sławomir Jędruszewski – „Zawsze niech będzie słońce”.

Ogromnym przeżyciem była dla nas również pokonkursowa wizyta w profesjonalnym studiu nagraniowym w Nidzicy, gdzie uczestnicy konkursu nagrali swoją pierwszą w życiu płytę, którą wraz z okładką przedstawiającą ich zdjęcie, otrzymali w prezencie.

Konkurs udowodnił, że wśród naszych uczniów jest wiele utalentowanych osób, a takie przedsięwzięcia dają im możliwość zaprezentowania się szerszej publiczności. Festiwal dla wielu młodych ludzi okazał się nie tylko formą prezentacji i promocji swojego talentu, ale w wielu przypadkach był pierwszym poważniejszym zetknięciem się młodego artysty z dużą sceną, bowiem impreza odbyła się przy zapelnionej sali kina „Grunwald” w Olsztynku.

Zdobywcy trzech pierwszych miejsc zostali zgłoszeni do II Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Rosyjskiej, który odbędzie się w dniach 28-29 marca 2012 r. w Łodzi. Kwalifikacje do konkursu już obyty się i decyzją tamtejszego jury do łódzkiego współzawodnictwa zakwalifikowała się Zuzanna Murzynowska.

Konkurs piosenki rosyjskiej pozostawił w pamięci uczniów niezapomniane wrażenia. Niech ich wypowiedzi będą podsumowaniem zadowoloności zorganizowania takich imprez.

Paulina Milewska (jedna z uczestniczek): „Udział w tym konkursie to wspaniałe doświadczenie. Nie panowała między nami, uczestnikami, jakaś wielka rywalizacja. Wręcz przeciwnie, za kulisami wszyscy solidarnie się wspieraliśmy. Była to dla nas przede wszystkim wyśmienita zabawa, a nie mordercza walka o wygraną. Bardzo się cieszę, że jedna z naszych koleżanek dostała się na ogólnopolską edycję konkursu. Życzę jej powodzenia!”

Kamil Maziec i Monika Luberacka (uczniowie; widzowie imprezy): „Było to wydarzenie nowatorskie i niezwykle interesujące. Wszystkie piosenki wykonano perfekcyjnie, jednak nam najbardziej podobał się występ Zuzi Murzynowskiej”.

Sylwia Szarnowska: „Dla mnie wydarzenie było bardzo ekscytujące, ponieważ pierwszy raz w życiu miałam do czynienia z piosenką rosyjską śpiewaną na żywo. Uważam, że uczestnicy wykazali się niezwykłą odwagą, śpiewając piosenki w tak trudnym języku, jakim jest rosyjski”.

Daria Polewaczyk: „Uważam, że tego typu konkursy dają szansę na zaistnienie oraz poszerzają horyzonty młodych ludzi, a tym samym zachęcają do działania. Mamy nadzieję, że szkoła będzie organizowała w przyszłości takie konkursy, ponieważ pozwala to nam na oderwanie się od szkolnej rzeczywistości”.

Uczniowie klasy I: „Bardzo dobry pomysł. Konkurs piosenki rosyjskiej to coś nowego, oryginalnego, niespotykanego, dającego nam szansę poznać inną kulturę”.



Izabela Frąckowiak

## I tak źle, i tak niedobrze

Kilkadziesiąt lat temu, w połowie XX wieku, w samym sercu Europy narodziła się Polska Rzeczpospolita Ludowa, której władza przekonywała mieszkańców, że właśnie PRL będzie krainą opływającą w przysłowiowe mleko i miód. Wystarczy tylko zakasać rękawy i z hasłem „Więcej, szybciej, lepiej” przekraczać plany i kończyć przed terminem wyznaczone zadania. Wielu obywateli uwierzyło ludowej władzy i dziarsko zabrało się do budowy nowej socjalistycznej ojczyzny. Wkrótce jednak okazało się, że obietnice władzy nie spełniły się, a z obiecywanej cudnej krainy wyszedł obóz przetrwania, do którego został wysłany cały naród. Polska Ludowa stała się krajem, w którym działo się nieustanne polowanie na podstawowe towary. Czy dzisiejsi nastolatki wychowani na fast foodach i kolorowych słodyczach są w stanie uwierzyć, jak trudnym do zdobycia towarem w tamtych czasach była wiązanka i czekolada, a papier toaletowy był produktem luksusowym, wystanym w długich kolejkach? Niedostatek i brak podstawowych towarów w sklepach wykształcił więc w ludziach zdolność wytwarzania produktów zastępczych własnym sumptem. Na przykład pomysłowość domowych cukierników była ogromna. Wyrabiano m.in. znane i dziś szyszki z ryżu preparowanego i cukierków toffi, zaś amatorzy wspomnianej czekolady gotowali w domu (pod warunkiem, że zdobyli importowane kakao) coś, co ją przypominało, lub przygotowywali kultowy po dziś dzień blok (a oto przepis, bo nigdy nic nie wiadomo... 400 ml mleka, 25 dag masła, 1 szklanka cukru, 3 łyżki kakao, 1 opakowanie cukru waniliowego, 1 paczka mleka w proszku. Mleko podgrzewamy w rondlu, dodając masło, cukier, kakao i cukier waniliowy. Po zagotowaniu odstawiamy do przestygnięcia, po czym stale mieszając, dodajemy mleko w proszku. Można dodać pokruszone herbatniki, płatki kukurydziane, orzechy. Masę wykładamy do foremki i odstawiamy blok do schłodzenia).

W PRL-u wielką wyobraźnię i pomysłowość musieli posiadać zwłaszcza ludzie (najczęściej młodzi), którzy chcieli się ubierać w stroje inspirowane modą amerykańską czy zachodnioeuropejską. Przecież w „salonach mody” wisiały zazwyczaj siermiężne, szare i jednakowe ubrania. Kupno jakichkolwiek dżinsów i ładnych kolorowych T-shirtów w tym czasie było w „normalnych” sklepach praktycznie niemożliwe. Wymarzone dżinsy oferowały tylko Pewexy, w których można było kupić za tzw. waluty wymienne (używane w PRL określenie walut krajów kapitalistycznych, najczęściej dolara) towary niedostępne w innych „zwykłych” sklepach, a koszulki kupowało się w kolorze białym (takie były) i farbowało w domu. Zdobyte w dewizowym sklepie dżinsy też trzeba było w domu „obrobić”, bo modne były wytarte, czyli takie, które wyglądały na mocno przechodzone. Efekt ten uzyskiwało się, pocierając nowe spodnie pumeksem kosmetycznym. Innymi „ekskluzywnymi towarami” nabywanymi za waluty wymienne były głównie kosmetyki, np. perfumy, wody toaletowe, dezodoranty i pasty do zębów, które można było ku-

pić również na rynku od tak zwanych turystów zwiedzających sklepy w NRD (Niemieckiej Republice Demokratycznej) i na Węgrzech. Pozostali, którzy liczyli na rodzimy przemysł chemiczny, mieli mały wybór kosmetyków produkowanych przez Zjednoczenie Przemysłu Chemii Gospodarczej „Pollena”. Produkowana przez to Zjednoczenie pasta do zębów „Nivea” była produktem uniwersalnym – nie tylko pomagała dbać o higienę jamy ustnej, ale również znakomicie nadawała się do czyszczenia białego obuwia tekstylnego (trampki firmy „Stomil”) oraz do polerowania powierzchni metalowych.

Rodzice dziatwy szkolnej zdobywali dla swoich pociec bardziej kolorowe niż polskie przybory szkolne produkcji chińskiej. Mali szczęśliwcy podróżujący z rodzicielami do NRD wykładali na szkolną ławę opakowanie pisaków, z których większość potem nie była używana (bo szkoda) i wysychała. Powodzeniem wśród uczniów cieszyły się również automatyczne ołówki produkowane w Czechosłowacji. Chłopcy usuwali wnętrze ołówka, a metalową oprawkę zmieniali w „szkolną broń” – zasada działania była wzorowana na dmuchawkach Indian. Nabojami najczęściej były różnego rodzaju kasze, ryż lub kulki z plasteliny. Obiektami ataków tak uzbrojonych chłopców były koleżanki, którym później mamy żmudnie wyczesywały te naboje z włosów. Ulubionym zajęciem dzieci po lekcjach bez względu na płeć były spotkania przy trzepaku lub wypad do baru mlecznego na kisiel i galaretkę.

Obiektem marzeń każdego dorosłego Polaka było własne mieszkanie, „maluch”, czyli Fiat 126p, oraz kolorowy telewizor.

Spędzając młodość w czasach, gdy wszystkiego było mniej, wszystko to, co wpadało w ręce, było cenne i ważne. Obecnie wchodząc do sklepów, często jestem zdezorientowana i długo nie mogę się zdecydować – „kupić, nie kupić, pójść do innego sklepu czy wyszukać na allegro?”. Za dużo możliwości to też zmartwienie ;).



L. Sobocki 70p, 1970r. rca. L. Sobocki 100p, 72.



## Męskim głosem

*Męskich zespołów wokalnych w Olsztynie nie ma (i nigdy nie było) zbyt wielu. Przy całej plejadzie znakomitych chórów w naszym mieście jest to trochę zaskakujące. Z drugiej strony te kilka inicjatyw, które jednak podjęto w Olsztynie, prezentuje niesamowitą różnorodność. Każdy z tych zespołów miał swój własny, wyjątkowy profil, repertuar i grono odbiorców.*

*Pionierem męskiego śpiewania w powojennym Olsztynie był Włodzimierz Jarmołowicz, który przybył do naszego miasta w 1947 r. zachęcony propozycją prowadzenia męskiej grupy wokalne. Założony przez niego kwartet, znany jako „Chór Jara”, istniał w latach 1947-1964 i należał do grona popularnych już w czasach międzywojnia rewersów. Słowo reveler (ang.) oznacza hulakę i buntownika, jednak zespoły te zwykle prezentowały przedwojenny sznyt, występując w garniturach i „pod krawatem”, a wykonywały muzykę rozrywkową, rewiową i kabaretową, przede wszystkim szlagiery polskiej piosenki. Słynnym zespołem rewersów był „Chór Czejanda”, niezapomniany wykonawca piosenki Autobus czerwony (tak, tak, to nie jest piosenka kabaretu „Potem”). Olsztyńscy rewersi to: Witold Dąbrowski (I tenor), Tadeusz Ziomek (II tenor), Włodzimierz Jarmołowicz (baryton) i Edward Warzecha (bas). „Chór Jara” śpiewał przeboje lat przedwojennych oraz inne szlagiery piosenki przy akompaniamencie Eugeniusza Herdliczki, a potem Zbigniewa Chabowskiego\*.*

*Zespołem o zupełnie innym charakterze był chór „Surma”, który powstał w 1973 r. z inicjatywy Henryka Rejbakoza i Stanisława Markiewicza przy Wojewódzkim Domu Kultury. Chór ten, prowadzony kolejno przez: Stanisława Markiewicza, Lucjana Marzewskiego, Bogusława Palińskiego, Feliksa Pacera i Roberta Jakóbczaka, skupiał amatorów i wykonywał głównie pieśni wojskowe oraz patriotyczne i utwory współczesne wraz z pieśniami lokalnych kompozytorów.*

*Kolejną taką inicjatywą jest obecnie dwunastoletni Chór Chłopięco-Męski Miasta Olsztyna, który założył i prowadzi prof. Józef Wojtkowiak. Profesor postanowił stworzyć chór, jakiego w naszym mieście jeszcze nie było, który zaszczepiałby miłość do muzyki, rozbudzał zainteresowania artystyczne wśród uczniów szkół podstawowych i gimnazjów oraz przygotowywał do śpiewania w innych chórach. Zespół rozwija się, koncertuje, bierze udział w konkursach i festiwalach muzyki chóralnej, a wśród wychowanków chóru są również zawodowi wokaliści i studenci kierunków muzycznych.*

*Zupełnie niedawno pojawiła się w Olsztynie męska grupa wokalna „No Quartet” skupiająca miłośników kameralistyki i męskiego brzmienia. Na naszych łamach prezentujemy rozmowę z członkami „No Quartet” o założeniu i założeniach zespołu.*

**Sylvia Białecka: Kto jest pomysłodawcą zespołu?**

**Piotr Konarzewski:** „No Quartet” to wypadkowa naszej wspólnej pasji. Zespół powstał z inicjatywy kilku chórzystów śpiewających w olsztyńskim chórze „Bel Canto” – Damiana Borkowskiego, Krzysztofa Włodarskiego, Andrzeja Przystawko i mojej, w przeszłości

również członka tego zespołu. Chcieliśmy zrobić coś nowego, coś innego. Poczuliśmy potrzebę spotkania poza dużym chórem mieszanym, jakim jest „Bel Canto”, i muzykowania w małym składzie kameralnym.

**S.B.: Dlaczego nazywacie się „No Quartet”?**

**P.K.:** Nazwa jest przekorna. Na początku naszej działalności było nas czterech. Wiedzieliśmy jednak doskonale, że aby uzyskać ciekawą jakość i interesujące nas brzmienie, musimy poszerzyć wyjściowy skład. Nazwa powstała więc z pragnienia śpiewania w większym zespole niż czteroosobowy. Powtarzałem sobie nieustannie frazę „tylko nie czterech, nie czterech”. Było „Ich Troje”, czemu nie miałoby być „Nie Czterech”? W języku angielskim brzmi to całkiem zgrabnie, więc nazwa się spodobała i z czasem przyjęła. Poza tym brzmi niemal identycznie jak tytuł mojego ulubionego utworu zespołu „Led Zeppelin” – *No Quarter*.

**S.B.: A skąd pomysł, żeby to był zespół wyłącznie męski?**

**Michał Biedziuk:** Chcieliśmy stworzyć coś oryginalnego. W Olsztynie istnieje wiele chórów mieszanych, wykonujących bardzo różnorodny repertuar – zresztą łatwiej jest o repertuar dla zespołu mieszanego – ale nam chodziło o coś zupełnie innego. Zamierzamy się tego trzymać i póki co nie planujemy żadnych „romansów” mieszanych, nawet z kontratenorami... Bardzo podoba się nam takie brzmienie i zamierzamy się rozwijać właśnie w tym kierunku, chociaż ogranicza nas to trochę, jeśli chodzi o dostępny repertuar. Ale z drugiej strony nie jest tak źle.

**S.B.: Jak długo istnieje zespół?**

**P.K.:** Spotykamy się od około roku, ale wciąż jesteśmy na etapie poszukiwań repertuarowych, wciąż konstytuuje się nasz skład.

**M.B.:** W tej chwili jest nas pięciu: Damian Borkowski (tenor), Piotr Konarzewski (tenor), Adam Wąsik (tenor), Michał Biedziuk (bas, baryton), Andrzej Przystawko (bas). Oprócz tego w składzie są także: Jacek Michalski (bas) oraz Krzysztof Włodarski (tenor), ale chwilowo z powodów zawodowych i rodzinnych nie mogą regularnie uczestniczyć w próbach.

**S.B.: A jaki repertuar wykonujecie?**

**M.B.:** Zaczęliśmy od muzyki cerkiewnej, szczególnie Damian lubuje się w tych klimatach, on je dobrze czuje.

**P.K.:** Choć nie tylko Damian, ale też i Andrzej, i ja bardzo lubimy muzykę cerkiewną.

**M.B.:** Tak, wszystkim nam to bardzo leży, nie musimy się do tego specjalnie przestawiać, tak jak na przykład do polifonii renesansowej czy do muzyki współczesnej.

**P.K.:** Tak, to chyba jest repertuar, w którym najlepiej się czujemy. Ale próbowaliśmy różnych rzeczy – śpiewaliśmy utwory renesansowe, kolędy, teraz przygotowujemy pieśni pasyjne, mocno



Podczas nabożeństwa ekumenicznego w Kościele Ewangelicko-Augsburskim Chrystusa Zbawiciela w Olsztynie. Na zdjęciu od lewej: Krzysztof Włodarski, Damian Borkowski, Piotr Konarzewski, Adam Wąsik, Michał Biedziuk, Jacek Michalski. Fot. Waldemar Biedziuk.





poszukujemy, myślę, że jeszcze długo będziemy szukać „swojego” brzmienia. Każdy z nas ma swoje pomysły, swoje ulubione „klimaty” – wciąż się ośpiewujemy, słuchamy się nawzajem, uczymy się od siebie, wciąż też szukamy stałego składu...

**Adam Wąsik:** Nie nastawiamy się na razie na wyścigi, udział w festiwalach, obecnie poszukujemy swojego brzmienia, próbujemy różnych rzeczy, czerpiemy przyjemność ze wspólnego śpiewania. Chcielibyśmy, aby kiedyś ukształtował się stały skład i byśmy

wyćwiczyli jakiś repertuar – i jak to wszystko nam wyjdzie, to wtedy pomyślimy o tym, żeby koncertować i startować w konkursach. Obecnie spotykamy się raczej dla przyjemności, a co będzie dalej – zobaczymy.

**S.B.:** Czy są jakieś „pozamuzyczne” powody tego, że śpiewacie w męskim gronie? Czy Wasz zespół to taka wokalna wersja niedzielnego meczu, który jest szansą na wyrwanie się z codziennych obowiązków?

**Andrzej Przystawko:** Chyba jednak były to wyłącznie przyczyny muzyczne. Bardzo lubimy nasze męskie brzmienie.

**P.K.:** Tym bardziej, że wszyscy mamy doświadczenie w chórze mieszanym, zresztą większość z nas cały czas śpiewa w innych chórach, a więc to nie jest tak, że nie chcemy śpiewać z paniami. „No Quartet” nie wynika z żadnej niechęci, tylko z potrzeby nowych doświadczeń.

**M.B.:** Chociaż nie wiem, jak wy, ale ja odnoszę wrażenie, że my, mężczyźni, jesteśmy jednak bardziej konkretni na próbach. Nie ma takiego rozprężenia...

**P.K.:** Nie możemy sobie chyba na to pozwolić – spotykamy się na jednej próbie w tygodniu, więc koncentrujemy się maksymalnie na muzyce.

**M.B.:** Ale nasze spotkania nie są tylko odskocznią od codzienności, choć na pewno trochę tu odpoczywamy, ale z drugiej strony również musimy się bardzo postarać, żeby tu być.

**A.W.:** Też mi się tak wydaje – my po prostu lubimy muzykę, lubimy śpiewać. Spotkaliśmy bratnie dusze, z którymi możliwa jest komunikacja na tym właśnie poziomie, dlatego muzykujemy sobie w tym gronie, żeby się rozwijać, szukać czegoś nowego.

**P.K.:** Myślę, że warto powiedzieć, iż szukamy następnych bratnich dusz. W tej chwili jest nas sześciu, ale szukamy kolejnych chętnych – dążymy do stałego składu ośmioosobowego.

**S.B.:** Powiedzieliście, że na próbach jesteście mniej rozproszeni – wydaje mi się to naturalne, bo jest Was mniej. Ale tak mały skład generuje też pewne problemy...

**A.P.:** Śpiewanie w małym zespole jest o tyle trudne, że jeśli jedna osoba wypadnie, to wszystko się sypie...

**M.B.:** No tak, brakuje nam również prób emisyjnych, swoją wiedzą i doświadczeniem wspiera nas od czasu do czasu nasz kolega, Piotr Serbintowicz, ale on również ma wiele swoich obowiązków. Większość z nas nie ma problemów z opanowaniem repertuaru, zwykle nie czytamy partytur na próbach. Staramy się pracować właśnie nad emisją głosu, wspólną barwą, harmonią, na próbach koncentrujemy się na tym, żeby się posłuchać nawzajem i wypracować wspólne brzmienie. Każdy z nas ma swoje przyzwyczajenia przyniesione z innych chórów, śpiewanie w dużej masie wymaga innej emisji, innej techniki, niż śpiew kameralny – tutaj jesteśmy w zasadzie solistami.

**P.K.:** To też inny rodzaj odpowiedzialności – nie jesteśmy już częścią głosu, trybikiem w maszynie, który może pozwolić sobie na chwilę nieuwagi, tu jesteśmy jedyni w głosie...

**A.W.:** Moment zawahania, niezdecydowania...

**M.B.:** ...i nie ma się za kim schować. Nie ma też nikogo, na kogo można by rzucić winę, albo od kogo oczekiwać pomocy.

**P.K.:** Śpiewanie w małym zespole to duża przyjemność, ale kilka trudności trzeba pokonać. Trzeba być bardziej samodzielnym. Musimy być czujni, patrzeć na siebie, słuchać się bardzo uważnie. To ciekawe doświadczenie, ale trudne.

**S.B.:** W tak małych zespołach dużą rolę odgrywa indywidualność. Jak to jest w „No Quartet”?

**M.B.:** My tę indywidualność rozumiemy nawet szerzej. Większość małych zespołów wokalnych, nie mówiąc już o dużych chórach, ma jednak kierownika zespołu, dyrygenta, osobę, która kontroluje dobór repertuaru, decyduje o interpretacji. W naszym zespole nie ma takiego stałego kierownika artystycznego ani dyrygenta. Panuje u nas jednocześnie demokracja i socjalizm.

**S.B.:** Jak to wygląda w praktyce?

**P.K.:** Większość z nas ma wykształcenie muzyczne, a wszyscy mamy doświadczenie chóralne. Często podczas próby okazuje się, że jeden z nas ma konkretny pomysł na dany utwór, potrafi przekonać do niego resztę i przejmuje prowadzenie.

**M.B.:** Choć nie zawsze jest tak łatwo narzucić swój punkt widzenia. Każdy z nas ma swoje wyobrażenie tego zespołu i może mieć realny wpływ na jego kształt i repertuar. Ja na przykład będę chciał powrócić do śpiewania renesansowej polifonii. Oczywiście śpiewanie bez dyrygenta jest trudniejsze, bo wymaga stałej czujności, ale nam właśnie zależy na samodzielności, niezależności i współdecydowaniu o naszym zespole.

**S.B.:** Dziękuję za rozmowę i życzę pomyślnego rozwoju Waszego zespołu.

*rozmawiała Sylwia Białecka*

\*W 2011 r. powstał reportaż Mariusza Borsiaka poświęcony „Chórowi Jara”. Materiał prezentuje fragmenty archiwalnych nagrań oraz rozmowę dziennikarza Radia Olsztyn z Włodzimierzem Jarmołowiczem, który zdradził wiele ciekawostek dotyczących początków i działalności zespołu. Reportaż dostępny jest w internecie: <http://www.ro.com.pl/posluchaj/dzwiek/3766/Olsztynscy-Rewelersi>.



## Komu sukienkę, komu miłość?

„- Wyobrażał pan sobie kiedykolwiek, jakie to uczucie być bosko pięknym?

- Hmm, nie, nigdy - wyznał szczerze Mateusz.

- A ja tak, często. Gdyby pan miał wybierać, to wolałby pan być bosko pięknym, oszałamiająco mądrym czy anielsko dobrym?”

L. M. Montgomery *Ania z Zielonego Wzgórza*

Gdy ma się kilkanaście lat, oczywistym jest, że brak urody czy nieatrakcyjny wygląd to przyczyna wielu nieszczęść, od życia towarzyskiego poczynając, na uczuciowym kończąc. Mało który nastolatek dałby się też przekonać, że anielska dobroć gwarantuje pełnię szczęścia i spełnienia. A bycie zawsze tym mądrym, no cóż, ma oczywiście swoje zalety. Choć z drugiej strony to mądry powinien ustąpić, być rozsądny, odpowiedzialny. A gdzie radość z życia i prawo do popełniania błędów? Od wczesnej młodości czujemy instynktownie, że tak naprawdę pragniemy mieć wszystko, tylko nie wypada przyznawać się do swojej zachłanności. Problem w tym, że zanim dojrzeje w człowieku myśl, co z tego jest najważniejsze, zdąży on najeść się wstydu albo zranić bliskich. I choćby nie wiem co, nie da się pominąć etapu „polowania na niebieskie migdały”.

Taki właśnie tytuł nosi najnowsza książka olsztyńskiej pisarki – Agnieszki Kacprzyk. Po *Klinice kukiel* i *Matyldzie* to jej pierwsza powieść o nastolatkach i dla nastolatków. Wydana nakładem Naszej Księgarni w popularnej serii „Ze Sprężynką” gwarantuje literaturę przystępną dla młodego czytelnika, jednocześnie wartościową i przemyślaną. I choć czasem odnosi się wrażenie przytłaczającego nagromadzenia wątków i problemów, to po lekturze pozostaje przyjemne odczucie autentyczności. Bo czy życie zwyczajnej trzynastolatki jest proste?

Irenka jak większość jej rówieśników ma silną potrzebę przynależności, bycia „widzialnym”. I nie chodzi tu tylko o zdobycie popularności, jaką cieszą się „modne” dziewczyny w szkole. Za nic w świecie nie chce być postrzegana jako nudna i nijaka. Nie od dziś wiadomo, że wyobraźnia nastolatków może podpowiedzieć wiele sposobów na wyróżnienie się, a większość z nich przyprawiłaby niejednego rodzica o siwy włos czy chorobę serca. Nastoletniej bohaterce „przydarzają się” więc kradzież w markecie i wagary, palenie za szkołą i picie na imprezie, aż wreszcie ucieczka z domu, nie wspominając o skłonności do notorycznych kłamstw. Owe przykre wydarzenia autorka wyraźnie opisuje z perspektywy młodego człowieka. Daje nam obraz wewnętrznych rozterek bohaterów, podkreśla przy tym, jak sprawy błahe w oczach dorosłych mogą w świecie nastolatków przybierać na sile i urastać do dramatów. To chyba największy walor tej książki. Szczególnie, że autorka stara się nie pozostawić tych kwestii bez rozwiązań.

Anita Romulewicz



A jakie problemy ma Irenka? Po pierwsze – imię, efekt sentymentalizmu rodzicielki, którego nie sposób zaakceptować, gdy w marzeniach aspiruje się do bycia „na czasie”. Po drugie – ubrania. Jak można uchodzić za wyluzowaną i odlotową, mając jedynie parę fajnych trampek? Po trzecie – rodzina. Niby są w porządku, zwłaszcza mama, ale jakoś nie potrafi z nią szczerze pogadać. A chciałaby, żeby nie kłóciła się z ojcem, szczególnie, gdy przychodzi pijany. I żeby babcia Gunia nie krytykowała wszystkich dookoła. Ma co prawda jeszcze braci, ale Krzychu i tak żyje własnym życiem buntownika, a Jasiek jest za smarkaty. Dobrze, że ma swój pamiętnik, choć wolałaby zamienić go na prawdziwą przyjaciółkę, taką od serca, której zwierzyłaby się ze skrytego uczucia do Bruna.

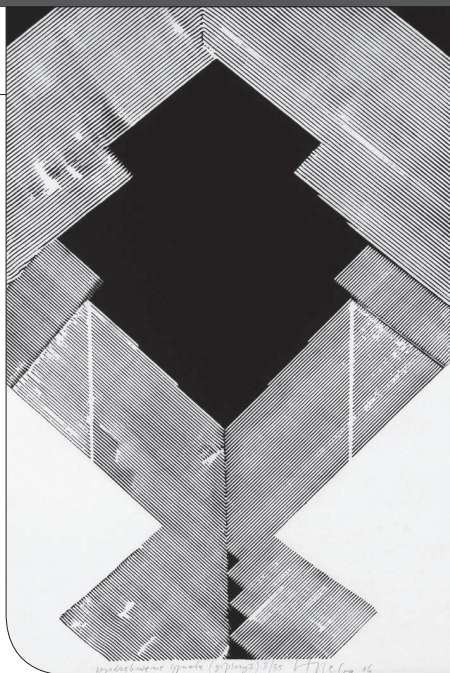
Część czytelników może nie polubić głównej bohaterki za jej nieco kapryśny charakter, naiwność i egoizm. Jednak dzięki tym cechom Ira jest właśnie autentyczna. Tak naprawdę wrażliwa i skryta, maskuje kłamstwami swoje kompleksy, ubarwia szarą rzeczywistość. Oszukuje rodziców, wobec których jednocześnie czuje złość i wyrzuty sumienia. Podobnie jest z kłamstwami wobec innych, jednak za każdym razem dziewczyna „sama nie wie, co o tym myśleć”. Autorka umiejętnie kreuje postać Irenki, dając czytelnikowi możliwość obserwowania, jak dokonują się w nastolatce emocjonalne przemiany. Widać, jak zaczyna dostrzegać, czym jest szczerłość i lojalność, jak uczy się cenić rzeczy małe.

Ciekawą postacią w *Polowaniu...* jest Myszata, a właściwie Grażynka, nastoletnia opiekunka psa Leona i właścicielka skutera, pozostawiona przez rodziców pracujących za granicą pod opieką „zaglądającej czasem” babci. To wątek dość nowy w powieściach dla młodzieży, z tym większą uwagą śledzi się sytuację dziewczyny. W tym przypadku postać została zbudowana na zasadzie kontrastu wobec głównej bohaterki. Myszata ma wszystko, o czym marzy większość jej rówieśników: szafy pełne markowych ciuchów, super sprzęt, swobodę, a co najważniejsze – brak stałej kontroli dorosłych. Z jakim zdumieniem Ira odkrywa, że mimo tego przyjaciółka nie jest szczęśliwa. Tęskni za rodzicami, czuje się samotna i wystraszona, i gdyby nie jej nieokiełznana wyobraźnia oraz naturalna pogoda ducha – tak naprawdę nie miałyby nic. To ona uświadamia Irence, jaką wartość może mieć własnoręcznie zrobiony prezent, ile frajdy daje bycie z kimś bliskim, czasem nawet marudnym, i na czym polega prawdzi-





Ryszard Otręba, IV ODILP



Waldemar Tychek

# GASTRONOMIA I RÓWNOUPRAWNIENIE

W obecnych, jakże trudnych dla mężczyzn, czasach nabieram przekonania, że ci, którzy twierdzą, iż sztuka gastronomiczna jest tą, którą wszyscy ludzie trawią bez najmniejszego wysiłku – nie mają racji.

Weźmy chociażby naszą cywilizację. Proszę bardzo. Czy zdajecie sobie państwo sprawę, że człowiek jest jedyną istotą będącą przyjacielem stworzeń, które ma zamiar zjeść? Bo przecież cywilizowany człowiek martwe zwierzęta wkłada do ust wyłącznie za pomocą widelca. A w dodatku uważa, że gdyby zwierzęta nie miały szkieletu, to nie byłoby czego obgryzać i jedlibyśmy mięso bez kości. Brr... Ohyda!

Dlatego też bardzo dobrym pomysłem natury jest kobieta. Kobieta jest jedyną istotą, która z niczego potrafi zrobić co najmniej trzy rzeczy: sukienkę, sałatkę i scenę małżeńską. Co prawda ta pierwsza i ostatnia ma się do gastronomii jak rzeźnik do chirurga, ale czegoś brakuje rzeźnikowi, żeby został chirurgiem? Kultury, tylko i wyłącznie kultury!

Niektóre kobiety kwestionują dodatkowo rolę mężczyzny, mówiąc, że mężczyźni nic w domu nie robią. Nie dajcie się zwieść tej fałszywej demagogii. Rola szefa już taka jest.

Dlatego też, w miarę upływu lat, kobiety wciąż walczą o równouprawnienie.

A cóż to takiego jest równouprawnienie? I po co o nie walczyć? Kobiety z pewnością nie zdają sobie do końca sprawy, że równouprawnienie spowodowałoby zachwianie równowagi ekonomicznej. Bo dlaczego jak dotąd rodzina polska wiąże jako tako koniec z końcem? Ano tylko dlatego, że ona nie pije i nie jada golonki, a on, że nie używa kremów i balsamów do ciała. Tylko dlatego.

wa przyjaźń. Zadziwia przy tym dojrzałością, jak chociażby w zdaniu „Ty nie potrzebujesz sukienki. Ty potrzebujesz miłości, przyjaźni, uwagi”.

Agnieszka Kacprzyk w jednym z wywiadów zdradziła, jak bardzo ceni książki Małgorzaty Musierowicz. W *Polowaniu na niebieskie migdały* daje się zauważyć słabość autorki do twórczości poznańskiej pisarki. Tak jak przy lekturze *Jeźdźcy* i tu także miło jest zanurzyć się w przygodach młodych bohaterów, wczuć się w ich codzienne problemy. Powieść jest przy tym literaturą, która w sposób naturalny dotyka kwestii ważnych, szczególnie dla współczesnej młodzieży. Po pierwsze – jak nie pogubić się w świecie, gdzie buty „nołnejm” mogą bezlitośnie skazać na wyalienowanie, po drugie – jak ocenić i docenić własny talent, po trzecie – rodzina, niedoskonała, czasem męcząca, ale własna.

Na uwagę zasługuje w tym miejscu fakt, w jaki pisarka porusza temat alkoholizmu w rodzinie. W pierwszym odbiorze zaskakuje brak wyraźnego rozwiązania problemu. Wydaje się, że tak jak inne wątki ten również powinien zostać szczęśliwie doprowadzony do końca. Autorka unika jednak przesłodzenia. Pozostawia młodego czytelnika ze świadomością, że są sprawy trudniejsze, wymagające czasu. Zapewnia przy tym, że choć alkoholizm ojca bezpośrednio dotyczy Irenki i jej braci, pozostaje jego problemem, z którym musi sobie poradzić sam.

*Polowanie na niebieskie migdały* mimo podejmowania ważkich tematów to książka pogodna. Nie brak w niej bowiem scen humorystycznych i wzruszających, choć wątek pierwszej miłości jest nieco ckliwy i przywodzi na myśl *Harlequiny*. Zdaje się, że jednak tylko u dorosłych może on wywołać uśmiezek, bo dla trzynastoletków romansowe uniesienia w parku z pewnością są śmiertelnie poważne. I to się liczy, bo książka ta jest przede wszystkim dla nich.

Agnieszka Kacprzyk, *Polowanie na niebieskie migdały*, Warszawa, 2011.



Wiesław Szamocki, III ODILP

## Elżbieta i Andrzej Fabisiakowie

# Odeszła między słowami

10 stycznia 2012 r. ze środowiska ludzi kultury, z grona koleżanek, kolegów i przyjaciół odeszła KRYSZYNA SPIKERT. Trudno w to uwierzyć i tak trudno pisać o tej wspaniałej osobie BYŁA. Nie da się ogarnąć żalu, jest w nas tyle pytań. Wydawała się pełna sił i energii, była pełna dobroci i życzliwości, tak niewiele przejmowała się przeszkodami stojącymi na Jej drodze. Odnosiliśmy wrażenie, że nastroiła swą ciekawość świata na fale codzienności.

Krysia często chodziła własnymi drogami po bezdrożach rzeczywistości. Nie unikała też życia towarzyskiego, więc Jej bogata osobowość, artystyczna dusza wzbogacała także nas. Czas spędzany z Nią, rozmowy w „Teatralnej” przy lampce wina, wspólne wyjazdy do Gietrzwałdu, Biskupca, Bartoszyca, Bartąga, Dobrego Miasta zawsze należały do przyjemności. Pracę zawodową wykonywała z należnym szacunkiem dla ludzi i odpowiedzialnością za misję wykonywanego zawodu. Zawsze przygotowana, zdyscyplinowana, wymagająca wobec siebie i innych, stanowcza w osądach, ale i pozytywnie zakręcona.

**„Z Krysią łączyła mnie głęboka przyjaźń, która nabrała szczególnego wymiaru, kiedy mogłam towarzyszyć Jej w zmaganiach z chorobą, a potem w odchodzeniu. Niezwykła była Jej dzielność, dystans, poczucie humoru. Ale też wdzięczna jestem Jej za ufność, z jaką odsłaniała przede mną swoją bezradność i słabość. Krysiu, spotkanie z Tobą było jednym z najważniejszych w moim życiu” – Joanna Fertacz, aktorka Teatru im. S. Jaracza w Olsztynie**

Odeszła wybitna osobowość kultury Olsztyna, charyzmatyczna animatorka kultury, specjalistka mowy scenicznej, terapeuta mowy, reżyser teatrów dzieci i młodzieży, asystent na Wydz. Humanistycznym UWM, wykładowca techniki mowy w Studium Aktorskim im. A. Sewruka przy olsztyńskim Teatrze. Od wielu lat jako członkini Towarzystwa Kultury Teatralnej inicjowała i realizowała wiele przedsięwzięć kulturotwórczych w mieście i regionie. Prowadziła autorskie warsztaty z zakresu techniki mówienia, mowy scenicznej, terapii mowy czy ekspresji wypowiedzi publicznej. W l. 1991-2000 prowadziła legendarne Noce Teatralne, gromadzące przy Okopowej kreatywną młodzież, wspaniałych artystów, dla których nocne doświadczenie sztuki teatru stało się szybko imprezą kultową. W r. 1998 założyła Teatr Rapsodyczny, kultywujący wartość słowa w teatrze. Z Jej inicjatywy od lutego 2008 r. rozpoczęło działalność uniwersyteckie Naukowe Koło Teatralne „Rapsod”. Jako była recytatorka, laureatka wielu nagród w konkursach recytatorskich była wielką orędowniczką Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, który jest największym i najstarszym zjawiskiem kultury wysokiej, odwołującym się do naszego skarbu kultury narodowej, języka polskiego. Krystyna miała w swoim dorobku doświadczenia tłumacza języka migowego, koordynatora pracy i asystenta reżysera w Pantomimie Olsztyńskiej, czy powołanie i prowadzenie wspólnie z prof. Bohdanem Gluszcziakiem podyplomowego Studium Kultury i Wyrazistości Mowy UWM. Ponadto jako wybitna profesjonalistka mowy scenicznej mogła poszczycić się wieloma wychowankami, tak pracującymi w teatrach całej Polski, jak



i wykonującymi inne zawody, dla których sztuka słowa stała się nie tylko narzędziem, ale filozofią komunikowania się z drugim człowiekiem.

**„Gdyby nie Pani Krystyna, to nie pamiętałabym, kim jestem dzisiaj. Nawet słowa mówione i pisane nie zobrazują w pełni wszystkich ciepłych myśli, wspomnień w mojej głowie, które są nierozwalnie połączone z Krystyną Spikert” – Magdalena Kunikowska, studentka Krystyny Spikert**

Krystyna swoją wiedzę zdobywała jako aktorka teatrów amatorskich oraz recytatorka w konkursach. Studia uniwersyteckie i podyplomowe w warszawskiej Akademii Teatralnej,

i reżyserii teatrów dzieci i młodzieży we wrocławskiej PWST przy równoległej pracy praktycznej, stworzyły jej oryginalny autorski warsztat twórczy SŁOWA. Wśród wielu nagród, jakie otrzymała, warto wymienić: nagrodę TKT „Wydarzenie Roku 1997” za Noc Teatralną, odznakę Ministra Kultury i Sztuki – Zasłużony Działacz Kultury (1997), nominację wojewódzką w Plebiscycie Mistrz Mowy Polskiej (2002), Nagrodę Prezydenta Miasta Olsztyna (2006), Medal Gloria Artis Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2005), nagrodę Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego (2005). 26 listopada 2012 r. Kapituła Towarzystwa Kultury Teatralnej Warmii i Mazur uhonorowała Krystynę za zasługi dla upowszechniania sztuki słowa, przyznając Jej Nagrodę i tytuł CZŁOWIEK TEATRU ROKU 2011. Bardzo cieszyła się z tego wyróżnienia. Obiecała, że zbierze siły i pojawi się na „Teatrowisku” – Festiwalu Teatrów Amatorskich Warmii i Mazur w CEiIK. Niestety, choroba nie pozwoliła...

Krystyna jest teraz zapewne w doborowym „niebieskim” towarzystwie. W świecie ludzi, którzy dialogują i potrafią słuchać innych. Będziemy hołubić w sercu to, co tworzyła wspólnie z nami, nasz codzienny teatr życia... W tej drodze zawsze towarzyszyć nam będzie Krystyna – wspaniały człowiek.

**„Każda młoda kobieta powinna mieć obok siebie dojrzałą kobietę – przewodniczkę/mistrzynię/przyjaciółkę. Mam ogromne szczęście, że na mojej drodze pojawiły się takie kobiety, że odnalazłyśmy się w tym życiu. Jedną z nich jest Pani Krysia Spikert. Była moją mistrzynią, zaraziła mnie ogromną miłością do słowa, uczyła warsztatu, jestem adeptką Teatru Rapsodycznego. Krysia odeszła, żegnana w glorii i bardzo skromnie” – Marta Andrzejczyk, aktorka Teatru Białego, piosenkarka**

Pożegnaliśmy Ją 16 stycznia 2012 r. Spoczęła na Cmentarzu Komunalnym przy ul. Poprzecznej. Dwa dni potem, na scenie Studium Aktorskiego im. Sewruka odbyła się premiera spektaklu *Burza* wg W. Szekspira w reż. Piotra Jędrzejasa. Po spektaklu reżyser powiedział do publiczności „Bez Niej nie byłoby Ich”.

17 marca 2012 r. z inicjatywy Elżbiety Bilińskiej-Wołodźko w Gimnazjum Publicznym im. Jana Pawła II w Dobrym Mieście odbył się kolejny Powiatowy Konkurs Recytatorski – od tego roku imienia Krystyny Spikert. To piękny i ważny gest budujący tradycję naszej kultury i szacunek dla Wspaniałego Człowieka.





Dariusz Szymanowski

# FRA ANGELICO

## albo obecność

Z Fra Angelico ma się sprawa tak: „Nigdy nie poprawia ani nie przerabia swoich obrazów, lecz pozostawia je zawsze takimi, jakie powstały od pierwszego pociągnięcia pędzla; wierzył, że taka jest wola Boga”, pisze Vasari. Ale jak było naprawdę?

Guido di Pietro już od najmłodszych lat wykazywał zadatki na *dipintore*. Podczas gdy jego rówieśnicy buszują w oliwnych gajach, Guido zdobywa wiedzę z zakresu właściwości barwników, technik nakładania farby, sztuki światłocienia. Raczej wycofany niż towarzyski. W końcu wstępuje do Dominikanów, gdzie zostać ma mnichem w klasztorze położonym nieopodal małego miasteczka Fiesole. W zakonie przyjmuje imię Fra Giovanni. Wiernie i sumiennie wypełnia zasady św. Dominika, to jest „dobroczynność, pokorę i nieodzowne ubóstwo”. Maluje. Zlecenia składają mu głównie florenckie kościoły. Kolekcjonuje rachunki na wypadek Sądu Ostatecznego. Skrupulatny Giovanni, jak każdy Dominikanin, ma obowiązek głoszenia Ewangelii, ma jednak problemy z wystąpieniami publicznymi, od dziecka był skromny, stronił od towarzysztwa ludzi. Głosi więc dobrą nowinę przy pomocy pędzla:

ultramaryny, cynobrów, malachitowych zieleni, różu i bieli, a także niemodnego już za jego czasów złota. Późniejszy bógosławiony Kościoła Katolickiego wykazuje niezwykły dar opowiadania, snucia opowieści. Jest przy tym narratorem skrytym, wiele w nim pokory, tak charakterystycznej dla średniowiecznych „małych mistrzów”, anonimowych apostołów płótna.

Szukam w pamięci słowa, które zbliżałoby mnie choć trochę do Fra Angelico. Lecz nie znajduję żadnego. Odpowiedniego.

Być może – prostota? A za nią: czytelność, także ubóstwo, obecność i jasność. Myślę o tym za każdym razem, gdy trafiam jakimś zrządzeniem losu, które niektórzy nazywają cudem, na reprodukcję *Zwiastowania*.

Prostota tego fresku, namalowanego około 1440 r., który znajduje się w jednej z cel macierzystego klasztoru brata Angelico, pozwala na odczucie obecności. Gdy wejdiesz do cichej celi w południe, osłepi cię światło wpadające tam przez małe okienko. Musi minąć chwila, aby z osłepiającej ciemności wyłonił się fresk. Oto ono – *Zwiastowanie*, prawdziwe, wręcz dotykalne. Odczuwasz je na własnej skórze, w ciepłe słońca padającego wprost na twoją twarz. W końcu dostrzegasz dyskretną sklepioną. Statyczny obraz. Wszystko dzieje się bez słów. Pochylona głowa, skupienie, milczenie, złożone do modlitwy ręce. Fra Angelico nie czerpie bezmyślnie z odkryć Brunelleschiego czy Masaccia. Nad kompozycją fresku niepodzielnie panuje *istoria*. Wszyscy troje stoją i milczą. **N i c**, dziejące się między Aniołem a Dziewicą, jest tutaj wręcz mistyczną tajemnicą. Jak wiadomo, Bóg przemawia w ciszy. Wszystko, co niewidzialne i niesłyszalne, Fra Angelico tłumaczy na język człowieka. Paradoksalnie,

zamykając usta Aniołowi, wkładając w ręce Marii modlitewnik, którego karty są puste, malarz otwiera misterium, zarazem obecne i bliskie. Puste i pełne niewypowiedzianej obecności. To zapowiedź narodzin słowa. „A słowo ciałem się stało...”

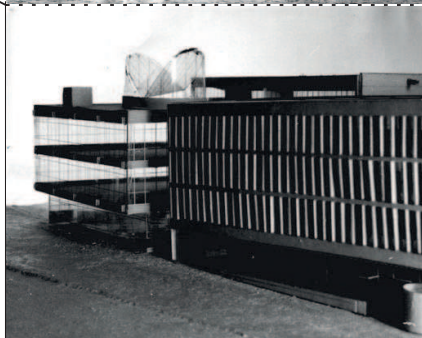
Będąc w Klasztorze św. Marka we Florencji, odwiedź koniecznie celę pełną wszechogarniającej bieli. Ona obezwładni cię i uczyni świadkiem. I poczujesz się jak ów Dominikanin, którego biały habit, znak Marii, może i przed tobą odkryje tajemnicę Wcielenia.





# ZRÓB TO SAM: Zbuduj sobie DUKAT

*Miejsce składania*



*Sposób wykonania*

*Gotowy model budynku*

Zdjęcia z archiwum Forum Rozwoju Olsztyna. Makieta: fot. E. Kossakowski